

CEZARY JELLENTA

789

JÓZEF PIŁSUDSKI

JAKO PISARZ I MÓWCA

STUDJUM

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WIEDZY WOJSKOWEJ
SKŁAD GŁÓWNY: „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ”
WARSZAWA 1929

24.11.31
1029

JÓZEF PIŁSUDSKI

jako pisarz i mówca.

CEZARY JELLENTA

JÓZEF PIŁSUDSKI

JAKO PISARZ I MÓWCA

STUDJUM

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-34198



001-0040910--00

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WIEDZY WOJSKOWEJ

SKŁAD GŁÓWNY: „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ”

WARSZAWA 1929



A-34198/W

40910

ROZDZIAŁ I.

PIĘKNO LIRYCZNE I POETYCKIE.

Jeśli w tem studjum nazywam Józefa Piłsudskiego pisarzem, nie zaś literatem, to nie dlatego, że on sam uważa siebie za literata, jak to oświadczył, interviewowany kiedyś w swoim „Milusinie” przez jednego z poetów. I nie dlatego też, że uczynił to oświadczenie, powodowany skromnością, jak je w następstwie komentowano.

Nie obowiązuje mnie owa „skromność”, gdyż to stronię od tytułu literata tłumacząc raczej właśnie brakiem zdawkowej skromności. Mniemam, całkiem na odwrót, że Piłsudski przez świadomość swojej intelektualnej intensywności, przez poczucie głębi i dalekości swoich horyzontów, nie kwapił się tak bardzo do przyjęcia tytułu literata, chociaż było to w okresie, kiedy piórem pracował zawodowo na życie. Takiemu rozumieniu lub odczuwaniu samego siebie przystoi daleko słuszniej miano pisarza, to znaczy, tytułu o wiele szerszego i wyższego, aczkolwiek na pierwszy rzut oka jest on tylko synonimem nazwy literat.

Byłoby wprost dziwnem, gdyby Piłsudski na wielkich, rozłożystych polach swojej życiowej bitwy i niezmordowanego zmagania się myślowego, nie czuł, że należy mu się intytulacja szersza i bardziej klasyczna, niż ta, do której upoważnia nieco ograniczona w swym promieniu złocista „agoda literata.

Byłoby niemożliwem, żeby Józef Piłsudski nie wiedział, że nie z książek tylko i nie z samej ambicji autorskiej brało pokarm jego dzieło pisarskie, nie z miłości własnej ucześnika zawodów olimpijskich, lecz z olbrzymiego kręgu dążeń i przeżyć, który rodzi literaturę wyższą, głębszą i dalszą. Na tę literaturę składa się znawstwo świata, jego teraźniejszości i przeszłości, psychologii narodów i państw i międzynarodowa historjografja wogóle i filozofja historii i ojczystej, posłannictwo wodza i przewodnika swojego na-

rodu, poczuwanie się do roli odnowiciela swej ojczyzny i do misji oderwania jej od błędów przeszłości, nawiązania zaś do dawniejszych świetnych kart potęgi, chwały i rozumu.

Oto są źródła i oto główne treści czynu pisarskiego Piłsudskiego, odlane w formę — złą czy dobrą, ale tchnącą niespożytym duchem wojny i walki oraz szczerością — stu z górą prac drukowanych. I takież wartkie były inspiracyjne podniety do tych prac. Na tych zaś kartach chcę właśnie przebyć drogę odwrotną, mianowicie, od pism do owych impulsów i źródeł, i z prac autorskich Pierwszego Marszałka Polski, spróbować uprzytomnić sobie bliżej zarówno namiętną i doniosłą myślową całość, jak i wezbrane podłoże uczuciowe.

Nie znam roboty literackiej, więcej pociągającej i większą dającej pełnię estetycznej i duszoznawczej satysfakcji, niż taka właśnie rekonstrukcja systemu myślowego historycznej jednostki — przy pomocy jej pisarskich emanacji.

Nie podobna, żeby Piłsudski nie wiedział, że z takich konieczności i impulsów biorące się autorstwo nie chce i nie może poddawać się pod jarzmo formalistyki literackiej z jej szkołą czy też elegancją wymagań kompozycji, harmonji i stylowości. Nie chce się ono podporządkowywać temu, co jest właściwie, jak cała literatura książkowa, zjawiskiem wtórnem w stosunku do tworzywa życiowego. Słusznem jest, ażeby zjawiska pierwotne — jakimi są dążenia najsilniejsze, żywiołowe, dyktowały prawa pióru, a nie szkoła literatury. Niech te dążenia nieprzeparte, niby fakty pierwotne, narzucają swój ład i nieład, swoją elementarną swobodę utworom. Ów rozrost życiowy, roztoka myśli i energia czynu mają także swoje prawo, i bodaj czy nie większe, udzielania herbu i nadawania ostróg rycerskich pisarzowi, — a nie, żeby było odwrotnie, żeby forma i technika miały rozdawać dyplomy i dyktować prawa naturalnej, spiętrzonej do ogromu strukturze woli i czynu.

Nie poddająca się dyscyplinie materia literacka Piłsudskiego, samorodnie się przelewając i kształtując, może nieraz, a nawet i często, zgrzytać dysonansami, ale znacznie

częściej krystalizuje się w wysokiej piękności pomysły, epizody i obrazy.

W tych kilku rozdziałach strzegę pilnie takiej wyższości i niejako suwerenności owych pierwotnych źródeł emanacji pisarskiej, w stosunku do takich faktów wtórnych, pochodnych, jakimi są książki i mądrość papierowa. Wobec żadnej innej osobowości twórczej postulat ten nie jest tak wskazany, naturalny i sprawiedliwy, jak wobec Józefa Piłsudskiego.

W takim oto sensie rozważam go jako pisarza, nie zaś jako literata, jako pisarza odbudowuję i interpretuję.

Literatami bywali bardzo często wielcy mężowie stanu i kierownicy naw państwowych, szczególnie na Zachodzie, gdzie wysokie urzędy powierzano osobistościom o umyśle rozległym, wielostronnie wykształconym a więc zawsze pochoptym do pracy literackiej. Są to ich godziny wczasu, the Hours of Idleness.

W państwach o bycie nieprzerywanym i niezachwiewanym, jak Francja i Anglja, gdzie na jednostkę nie spadały obowiązki Atlasa, dźwigającego glob ziemski, ani Archimedes, szukającego punktu oparcia dla dźwignięcia całej ziemi, wielkim państwowcom zostawało dość czasu i pogody ducha, żeby się poświęcać nauce, literaturze lub sztuce. Lord Beaconsfield pisywał tasiemcowe romanse, Gladston pracował nad Homerem, Clemenceau pisze książkę o Klandjusz Monecie, wielkim malarzu impresjonistcie, Herriot wydaje wielkiej wartości studja o pani Recamier i Beethovie i t. d. Oto prawdziwa sielanka umysłowa wielkich premierów i ministrów. Nie mieli oni potrzeby dźwigać ojczyzn z rozbicia, przywracać im podwalin samoistności, zabezpieczać ich przeciwko sąsiadom i zapalać w nich energii do rozwoju i postępu. A takie właśnie posłannictwa składają się na tę rolę, do której czuł się powołany Piłsudski. Pogody ducha w nim niema, czasu wolnego na zajmowanie się malarstwem lub rzeźbą niema. Wszystko czem on jest, co posiada, jako żołnierz i jako duch, poświęca jednej sprawie. Wszystko co pisze, wyłącznie, zbliża czy zdala, tej sprawie służy. Każde przemówienie jest rozkazem do walki, walką

lub radosnem obozowem wytchnieniem po zwycięstwie. Jest to ten patetyczny stosunek do normalnych praw i rozkoszy życia, którego żaden obcy człowiek zrozumieć nie jest w stanie. Ludzie znają więcej mity biblijne, niż wielkie wydarzenia historyczne. Wiedzą, co to chaos i jak Bóg stworzył z niego świat, ale nie mają pojęcia o tem, czem było obezwładnienie wielkiego ongi narodu i strącenie go w chaos niewoli, i k i m trzeba być, ażeby z tego stanu helotyizmu, z tego chaosu trójniewoli móc ten naród wydzwignąć.

Przyszły historyk Polski będzie miał zadanie uproszczone. Patrząc z perspektywy lat na to, co Piłsudski dzisiaj mówi, ogarnie odrazu kardynalny fakt tej lutej „męki wodzostwa“, o której w Raptularzu swoim mówi Juliusz Słowacki. Każde przez Piłsudskiego napisane słowo i każdy odruch miłości czy wstrętu, pogardy lub nienawiści, przełany na papier, jest czemś niesłychanie dalekiem i od Beethovena i od pani Recamier, ale zato wstrząsająco bliskiem problemu istnienia Polski i tego bytu ugruntowania.

W naturze Józefa Piłsudskiego jest jeden rys dziwny, niemal zdumiewający. Wyczytać go można z wielkiego mnóstwa jego broszur, rozpraw, odczytów, przemówień, wspomnień legjonowych, z całej bogatej jego pracy piśmienniczej, lecz także i z jego historycznych, wiekopomnych działań. Rysem tym jest łączenie się czynu z głęboką refleksyjnością, paralela temperamentu wodza i polityka z usposobieniem kontemplatora i niekiedy nawet liryka, liryka burzliwego wprawdzie, lecz niewątpliwego.

Taka skłonność do zadumy i do uczuciowego reagowania na wszystko widziane i spełniające się — prowadzi drogą logiczną do mimowolnego poetyckiego nastawienia się wobec rzeczywistości, o ile tylko ona jest wzniosła, wielka, bolesna lub smętna, a także o ile jest przyrodą, ścielącą się jako tło pod wielkie wypadki, lub im wtórującą.

Jest to poezja rozmyślań w wielkiej samotności, przywdziewająca formę pięknego słowa, zachwyconego zwrotu, elegijnej myśli lub wzruszonej rozmowy z szlachetnymi

i bliskimi. W samej zasadzie organizowania Legjonów już było to, co Juliusz Słowacki mówił o sobie:

Nigdy mi kto szlachetny nie był obojętny.

Było jeszcze w większym stopniu wówczas, gdy ci szlachetni zaczęli się jaskrawo odcinać od podłych. Pierwsiastek szlachetny wówczas urastał do znaczenia kwiatów, o których Józef Piłsudski tak często, tak bardzo lubi wspominać. Na niwie miłości dla szlachetnych, musiała się urodzić w Piłsudskim poezja.

Lecz już w samym materiale duchowym zarówno Legjonów jak ich twórcy była wrodzona, z mlekiem dziejów wyszana, poezja: Załamanie się Polski w roku 1830 przeszło do pamięci narodu i jego literatury jako tragedia, ubrana we wszystkie purpury i złotogłowie poezji naszych romantyków. Ta poezja zagłuszyła nawet sobą życiową żądzę powrotu do istnienia, do miecza i do słońca, do czego wspaniale nawoływał Stanisław Wyspiański w swoim niezrozumiałem dla pokolenia — *Wyzwoleniu* i w *Kazimierzu Wielkim*. Jego okrzyk, włożony w usta Konrada Mickiewiczowskiego: „Poezjo precz, jesteś tyranem!” jest potężnym buntem przeciw kołysaniu się i upajaniu poetycką elegją klęski ostatniej wojny polsko-rosyjskiej, czy też, jak się mówi inaczej, — rewolucji listopadowej. Od czasu tego pasorzytowania poezji na ciele skolatanem i ranami pokrytem Polski, każda nawet realna myśl o niepodległości była również infiltrowana poezją. Pomimo największej trzeźwości i realizmu Marszałka, i w koncepcjach jego i w planach, konsekwentnie i systematycznie od młodości pielęgnowanych — był nałot poezji. Można by powiedzieć, że realizm stworzenia Legjonów odziedziczył po romantyzmie jeremiad — poezję; wyzwoliciel przejął od tragedji niewoli jej wielki patos. Bowiem już w pierwszych aktach chrztu, w rozkazach do żołnierzy, gdzie oświeca, zachęca i pociesza młode wojsko, nie może się oprzeć cytowaniu poetów: „Czy takimi zostaniemy w historii, czy po nas pozostanie jedynie

krótki płacz kobiecy

i długie nocne rodaków rozmowy”?

lub używa rodzimego romantycznego superlatywu, nazy-

wając Napoleona „największym człowiekiem na świecie” (styczeń 1917 rok).

W tych samych rozkazach, które istnieją również jako wybór, zatytułowany: „Józef Piłsudski do swoich żołnierzy” hojnie sypie zwrotami stylowymi wysokiego piękna, jak na przykład ten niezapomniany, poetyczny, a tak spiżowy, jakby z oktaw „Króla Ducha” wzięty:

„Nie chciałem pozwolić, aby w czasie, gdy na żywym ciele naszej ojczyzny miano wyrąbywać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przytem brakowało. Nie chciałem dopuścić, by na szalach losów, wążących się nad naszymi głowami, na szalach, na które miecze rzucono, zabrakło polskiej szabli” (Rozkaz z 5 sierpnia 1915 roku).

Bez kłamstwa i przesady powiedzieć można, że te rozkazy pobrzmiewają raz po raz jak poezja prozą: jasne, ścisłe, jednak obrazowe i przetchnione uczuciem. Odrazu czujemy, że wyrosły w środowisku legjonowem, w którym było tak wielu spadkobierców polskiego romantyzmu: poetów, literatów, malarzy, rzeźbiarzy, nauczycieli, i na ich dżapazon nastrojonych wszystkich tych drogocennych pierwiastków ludowych, którymi Piłsudski tak się szczyci i słusznie w broszurze swojej „O wartości żołnierza Legjonów” pisze; czujemy, że to wódz o sercu wezbranem przemawia do takich-że towarzyszków broni.

Styl rozkazów jest wzruszający, przepaja go pewien ton od wnętrza, silny, wibrujący, choć jednocześnie przenikający nawskroś realizmem, gdy na przykład mówi o naszej „a-państwowej” kulturze i państwowej abnegacji i prorokuje, że z czasem „odbije się to przedewszystkiem na wojsku, które stanie się ciężarem dla ludności”.

Radziłbym wszystkim, co chcieliby sobie odtworzyć ów jedyny może na świecie nastrój podniesiony ducha, który towarzyszył pierwszym debiutom odnowionego oręża polskiej twórczej inteligencji i polskiego ludu, ażeby te dokumenty sobie odczytali — i powtarzali to sobie od czasu do czasu. Wtedy uprzytomnią sobie nie tylko bieg gorący wypadków i postęp wielkiej sprawy, ale i będą mieli bezcenną kronikę ślubów żołnierskiego braterstwa, historję zacie-

śniających się węzłów, purpurowych od przelanej krwi bohaterów, ale i od pierwszego wschodu nowego słońca.

Takie samo piękno poetyckie znajdujemy na wielu stronicach wykładów i odczytów Piłsudskiego. Jego styl nieraz zasupłany, nierówny, rozlewny, to znów wybuchowy i gwałtowny, kaskadowy i sfalowany, to wreszcie zamulony mulem gniewu, oburzenia i pogardy, schodzącej do bezceremonjalnych epitetów i przydomków, raz po raz wystrzela w górę racami tęczowemi i odsłania swój rodowód poetycki, a nawet romantyczny. Po zaćmieniach chmurą namiętności następuje jasna zorza borealna. Myśl Piłsudskiego owija się wtedy dokoła nieśmiertelnych powiedzeń lub inwokacji naszych wieszczów, lub też wynajduje obrazy i przenośnie własne, nie mniej głębokie i plastyczne. Wobec Wilna „miasta jego dzieciństwa“ było duszy Marszałka tak „jako owej kobiecie w „Weselu“ Wyspiańskiego“. „Mus mnie woła, raz dokoła; ja wołałem: mus lat młodych miłości i wspomnień i Wilno dla mnie było dziedzictwem długich lat, tęsknot i przywiązań“.

Takich punktów oparcia się o wielką poezję i szczytną szczerość spowiedzi spotykamy osobliwie wiele w „Wykładach wileńskich“. Autoanaliza nie cofa się przed żadnymi szczegółami osobistych przeżyć, medytacji i chwilowych interludjów hamletyzmu. Myśl Piłsudskiego, lubiąca kołowanie, perjodyczność zdań i przeróbki tego samego tematu, korzysta obficie z piasów i tańców widmowego „Wesela“ i obraca się z niemi do taktu: „Mus mnie woła a myśl się okręca koło koncepcji, tworząc chocholi taniec“. Albo: „Ukochane, drogie Wilno... jadąc, uczyłem moich oficerów kochać to miasto Mickiewicza i Słowackiego. Ich miłość śpiewała jeszcze w przestrzeni, bo jest nieśmiertelną, ich to stopy wędrowały po tych borach, łąkach, tak znanych, tak ukochanych, tak mocnemi węzłami związanych z moją duszą“.

A kiedy w jednym z takich wykładów, dziwnym amalgamacie surowej, ścisłej historii militarnej, z liryzmem, mówi o tem, jak sen jego się ziścił, jak wjeżdżał do Wilna — to wysnuwa sens moralny dla słuchaczy — kolegów, o cha-

rakterystycznym, nienapotykanym chyba u żadnego z wielkich dowódców refrenie.

„Kto duszy żąda, duszę dać musi, kto sięga po duszę — duszą swoją płaci”.

„Zasadą dowódcy musi być: „duszę bierzesz — duszę daj”.

To przecie „Wyzwolenie” Wyspiańskiego: „Duszę twoją gram“, „Duszę graj”.

„Gdy chcesz pracować dowodzeniem, szukaj prawdy duszy. Patrz jej w oczy, prawda jest silną i jest mocą duszy! To bogini. Słaby nie znosi wzroku prawdy i tarza się przed nim w prochu, silny nawet się chwieje, ale nigdy nie pada i on wyczyta w oczach bogini rozkaz woli”.

Piękno stylu Marszałka polega, jak stąd widzimy, na szczodrocie i dynamice myśli i podkreślaniu wewnętrznej, duchowej strony przeżyć. Opowieść Wodza staje się opowieścią duszy; wywody dziejopisa własnych czynów — ukazywaniem kuźni wewnętrznej mocy i woli wielkości. Jest to poezja duchowej potęgi i potężnienia.

Każdy traktat historyczny Piłsudskiego jest jednocześnie i spowiedzią, ale najsilniej ta nuta spowiednia drga w „Wykładach wileńskich”. Nigdzie Piłsudski nie otwiera tak przed nami misterjum swojego serca i swojego laboratorium myślowego; to ciągle bezpośrednie obcowanie z czytelnikiem — pierwotnie słuchaczem — ma swoją osobliwą wartość i powab.

Tam zaś, gdzie nie spowiada się ze swych zakulisz psychicznych, gdzie odczyt — traktat poświęcony jest pewnemu specjalnemu zagadnieniu, znowu piękno i powab bierze się z rewelacyjnego charakteru obfitych i kruszcowych myśli. Tak jest na przykład w „Roku 1865”, gdzie autor maluje magnetyczny czar symbolu, jakim była pieczęć Rządu Narodowego, i fascynującą siłę, jaką miał dla wszystkich sam ten Rząd, czczony nawet przez najeźdźców. W tych obrazach jest mądrość i krasa. To samo widzimy w charakterystyce legionisty („O wartości żołnierza Legionów”) jako nowego typu kulturalnego, który wniósł z sobą świadomość życia nie dla siebie, brawurową pogardę śmierci, cudowną beztroskę, familijne życie się z pułkiem, mi-

łość dla Wodza i dbałość o honor. W tym wizerunku jest humor, lekkość, swoboda, radość wojennego bytu — coś co napawa dumą i rozszerza pierś. I co jest mądre i poezji pełne.

W rozprawie „Demokracja a wojsko“ Piłsudski swoją ironję w stosunku do tych, co chcieliby usunąć siłę władzy w wojsku i zakorzenić w nim doktrynę równości — ubiera w formę świadomego poetyckiego krasomówstwa. Powiedziałbym nawet, że rzecz ta zatracą nawet o symbolizm poetycki, całość jest skonstruowana kunsztownie, jako dylemat siły i swobody, nakazu i braku nakazu „koloru lazuru nieba“, koloru wieczności, obojętnej na dół ludzką — i drugiego koloru, „zieleni — koloru życia, koloru nadziei, głupoty ludzkiej i tęsknoty“. Takie podobłoczne zdania, jak to, które nazywa wodzów „orłami, co w bój prowadzą krwawymi oczami i siłą skrzydeł burze tną, co symbolowi demokracji cokol pod nogi stawiają“ — spotyka się na każdym kroku. Nie łatwy to specimen prozy, nieco mglisty i koturnowy — ale od początku do końca utrzymany w tonie niezwyklej podniosłości, godnej owego Boga Słowackiego „co nie jest bogiem robaków“ i przez to umiłowany jest Piłsudskiemu i cytowany przezeń.

Jeszcze wyższy stopień piękna poetyckiego będzie, rzecz prosta, wtedy, gdy Wódz staje twarzą w twarz z wielką naturą i gdy po niebie snują się dymy bitw.

Wtedy zdarzają się całe stronice, godne przytoczenia.

Do takich należą opisy w „Czeremosznie“ (15 września 1915 roku) pełne muzyki słowa. Naprzykład: „Jest dziwny czar wielkiej przyrody, gdy człowiek czaru nie zakłóca... Początek jesieni, ciepły, prawie letni dzień, niedopuszczający jeszcze myśli, że gdzieś się już czai zima... Przyroda łagodnie, pieszczotliwie, podmuchem lekkiego wiatru powoli koi wzburzone tak niedawno myśli“, A potem—widok samego Czeremoszna i zburzonego dworu i dosadny obraz barbarzyństwa, które tu grasowało. Takie same krajobrazy czysto malarskie podziwiamy w „Ożarowie“, nieco wcześniejszym.

„Nie pod celową pracą wojny, szukającej zwycięstwa potęgą ognia z dział, zginął Ożarów, lecz z jakiejś dzikiej —

bezmyślnej zabawy w pustynię“. Teraz więc przypominał jakąś umarłą dawną siedzibę ludzką, „którą upiększa nie tylko kapryśna rzeźba czasu, strojąca mur w koronki i nieoczekiwane zasłony, lecz i groza, oraz powaga śmierci, nie ludzi, lecz wiekowych wysiłków, i długiej a wytrwałej pracy“.

W tej samej medytacji melancholijno-rodzajowej Farys - Komendant rozmyśla o „śpiewie kuli“, który słyszał nad sobą: „Śpiew łagodny, nie mogę go porównać ze świątem, czy gwizdem, tak jak o nim mówią potocznie. Wydaje mi się zawsze, że kula śpiewa. Jest w niej i przy niej jakaś powaga śmierci, która może zmusza ludzi skłaniać przed nią głowę, tak jak przed pogrzebem“.

Gdy te refleksje porównać z innymi „Wspomnieniami legionowemi“ z tychże tomów, uderza, obok rwanych, nieraz mocnych i wstrząsających notat innych legionistów, ton poważny, zawieszony i nawskroś myślicielski i poetycki Józefa Piłsudskiego. Widać odrazu w soczewce jego oka ślady wielkiej lektury i wielkich ogarnięć. Tak obserwuje i pisze człowiek, co całą swoją ziemię objął miłosnem ramieniem i ma zwyczaj patrzeć na wypadki pod kątem wieczności, rozumu, celu, prawdy i godności ludzkiej i wielkiej przeszłości swojej ojczyzny.

Taką refleksyjność filozoficzno - hamletowską, przeciwieństwo usposobienia podczas wojny, które jest jak stal wyostrzoną decyzją i czynem, widzimy w tych pismach, które powstały ze szczególnie silnego wstrząsu całej istoty Piłsudskiego. Tak zadrżał na wieść o zamordowaniu pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej i tak swoją boleść i medytację wypowiada w dziełku „Wspomnienia o Gabryelu Narutowiczu“. Wprzód opisał jego zasługi, idee i marzenia, a potem przypomniał krwawiącą z nim rozmowę o miejscowych stosunkach i przytoczył słowa następujące:

— Ma pan rację, to nie jest Europa. Ci ludzie lepiej się czuli pod tymi, kto karki im deptał i bił po pysku.

I kończy takim, głęboko tragicznem epitafium:

„Zgasł! Gdym poszedł do Belwederu pożegnać się z przyjacielem przygotowanym już do grobu i usiadłem

w sąsiednim pokoju, myślałem o przebiegu życia ś. p. Narutowicza.

Gdzieś, w dworze zmudzkim, panowała popowstaniowa żaloba; cichą skargę matki zamiast wesołej piosenki miałeś nad kołyską, gdy ojciec chmurny trwożliwie nadśluchiwał dźwięku dzwonka w oddali, zwiastującego przybycie jakiejś władzy zaborczej. A potem ciche, rzewne, lecz uporczywe nauki rodziców — żyj, cierp, kochaj i pracuj. Uczono cię pokory nieszczęścia. Szeptano ci na ucho wspomnienia walk ubiegłych, pokazywano zatajone gdzieś zakazane obrazki. A potem?

A potem! Powędrowałeś w świat daleki. Nie zaznałeś z nami ani walk, ani nędzy niewoli. W walce nie pozbyłeś się sentymentalizmu swego dzieciństwa, w brudzie niewoli nie zbrukałeś duszy, w pokorze nieszczęścia nie pełzałeś jak gad, już nie łudząc despotów. Zakonserwowałeś gdzieś w szalasach szwajcarskich swe dziecinne i młode marzenia, swe dziecinne i młode zaufanie do ludzi, do ich dobrej woli. Przyniosłeś z sobą nakazy matczyne: żyj, kochaj, pracuj. Zamiast nakazu „cierp“, przyniosłeś szczęście życia i pracy w wolnej od kajdan Ojczyźnie.

Zginałeś od kuli nie wrażej, o której może w dzieciństwie marzyłeś — od kuli rodaków, do których niosłeś swą ewangelję miłości i pracy. Czy zginałeś w ten sposób za to tylko, że takim byłeś, czy za to, że z brudem niewoli walczyć nie chciałeś, czy nie mogłeś?”

A jeszcze szersze ramy myślowe liryzm ten wypełnia aż po brzegi jakiejś Ruskinowskiej filozofji pejzażu, gdy ma za przedmiot rzecz pogodną i radosną, ukochane piękno nadniemeńskie. W księdze pamiętnikowej Druskiennickiego Zakładu zapisał (rok 1925) improwizację całkiem natchnioną o krajobrazie silnym, który się zrodził z myśli Boga jako rzeźbiarza i rysownika, i o widoku lekkim i swawolnym, który się z Jego odpoczęcia wywiódł; o wzorze, jaki Bóg dał pracownikom - ludziom, i o tem, jak myśl boska, ogromna, zbiegła się z myślą małą lecz również pracowną człowieka, który wielki plan Stwórcy ku swemu pożytkowi wyzyskał.

Z tej przędzy poetyckiej, o prawdziwie sonetowej kunsztowności, kilka wersetów godzi się przytoczyć.

„Kiedy Wielki Stwórca równie nadniemeńską rzeźbił, szedł linją surową i w silniejszym skurczu dłoni kształty ziemi lepił. Bogato sypał na nią żółtawym aż do bezbarwia białości piaskiem, prosząc ją obficie mchem jakby siwym od starości dziejów ziemi i swego istnienia. Jako wierne sługi swych rozkazów rzucił mnóstwo wiecznie zielonych sosen, ciskając je dłonią w puszcze, na straż zaś puszczy wyrzucił na ich boki najsilniejsze bujne sośniny, co nielekliwie z burzą i nawałnicą się pasując. w konwulsjach wysiłku mięśnie swe prężą i wykrzywiają, jak zamarli w walce rycerze.

Wyroki Stwórcy skazują ludzi na tę ziemię rzuconych na mozół i trud wielki, by z ubogiej gleby, jak ta sosna życie wydobywali, by byli w trwałości pracy niezmienni, jak zieleń wieczna koron drzewnych a na straż swej ziemi-cy wysyłali silnych, co w burzy się nie zegną.

Lecz gdy Stwórca - rzeźbiarz do Niemna brzegu się zbliżał i zmęczony surowością pracy palcom spocząć pozwolił, z rozkoszy wolności i odpoczynku ku ziemi błogo uśmiech spoczywania posłał. Wdzięczna ziemia odkurczyła swą pierś ściśniętą do prostoty płaszczyzny. Mała Rotniczanka skoczyła radośnie, spiesząc ku Niemnowi, jakby samą siebie prześcignąć chciała i tanecznym po kamieniach biegiem w niespodziane a na rozcież otwarte wrota wąwozu się wsączyła. Szeroki, rozłożysty i wartki Niemen głęboko prując pierś matki ziemi podobieństwo swawolnych gór czynił. Z pod ziemi trysły źródła o różnych smakach a barwną zieleń z niespodziewanemi i strzelistemi jak gotyki drzewami zastąpiły mech siwy i szary.

W ten sposób Druskieniki były niespodzianką myśli Stwórcy w odpoczynku, gdy ten się uśmiechnął.

Nieraz gdy myślę o tem, szukam małości myśli ludzkich wobec wielkości myśli Stwórcy. I wydaje mi się, że człowiek sądzi, iż piękna i miła Rotniczanka nie ku Niemnowi spieszy, lecz ku kaskadom kąpielowym, by schudzone w upałach ciało miły chłód wody na się przyjmował“.

...Wielkości, gdzie twoje imię? Małości, gdzie twoje myśli? I śni mi się często w Druskienikach, że bodaj w jednym tylko błogim uśmiechu swobody odpoczynku po pracy, jak w jakiejś wieczności prawdy o miłym uśmiechu niespodzianki — spotkać się Wielkość i Małość mogą”.

ROZDZIAŁ II.

MIECZ SŁOWA.

Mówiłem o pięknie w pismach Józefa Piłsudskiego. Iluż pragnęłoby, żebym mówił o nie-pięknie w jego żywym słowie!

Owszem, mówić właśnie zamyslałem. Tylko zastrzec muszę, że wyosabnianie tego, co napisał i co wydrukowano, z tego co wypowiedział, może być tylko względne, warunkowe. Przemówienia Marszałka są bowiem poprostu prymitywną edycją jego pism, ich pierwoksztaltem. Wyjątek stanowią obrazy i opowieści, przeznaczone do ksiąg zbiorowych, do „Wspomnień legjonowych“ i przede wszystkim główne wielkie dzieło historyczne „Rok 1920“. Prace zaś, niektóre, nawet seryjne, cykliczne, jak „Wykłady wileńskie“ były wprzód mówione.

Gdy utwór literacki wziął się z przemówienia, musi mieć na sobie ślady improwizacji, wypartej z mózgu na zewnątrz siłą życiowej fali. Nawet jeśli odczyt był przygotowany, był nim napewno tylko jako konstrukcja przeżyta i przemyślana wewnątrznie, formę zaś literacką, niby szatę zwierzchnią, narzuciła na siebie w gorączce przejęcia i kontaktu z słuchaczami, to znaczy, ze światem. Taka forma nigdy nie jest skończoną, wygładzoną. Jest jak potok górski, pełen żwiru i kamieni, niekiedy podobny wprost do mokrego usypiska, toczącego się żlebem. Rzadko kiedy zaś jest rzeką ujętą w uregulowane łóżysko.

Dlatego wiele przemówień Piłsudskiego nie ma symetrii i rytmu, choć nieraz posiada niespodziane kantyleny melodji. Stąd się biorą jego powtórzenia słów i zdań, nieraz bardzo liczne. Z pewnością zżymałby się na taki styl Gustaw Flaubert, który pilnował, żeby słowo się nie powtarzało na przestrzeni pięćdziesięciu stronic.

To gęste szpikowanie treści tem samem uporeczywie powtarzanem słowem lub zdaniem ma swoje znaczenie różnorakie; jest najpierw, w pewnych wypadkach, wido-

mym, rozmyślnym znakiem lekceważenia formy i dobrego tonu, tak jak w innych jest niejako stroficzną refrenową ich ozdobą. Powtórę, oznacza rozmyślne bakalarskie wbijanie w głowę, żeby słuchacze zrozumieli i zapamiętali, a po trzecie, jest pewnego rodzaju humorystycznym skrzywieniem się, gdy wyraz dany osądza sam siebie i to, co oznacza. Np. wielokrotnie pastwi się Piłsudski nad „perakende“, to znaczy, żołnierzami armji tureckiej, połapanymi skąd się dało, ażeby stworzyć kadry improwizowanej armji. Podrzuca to słowo jak zabawkę i umie z niego wydobyć komizm. Widzieliśmy, że lubi igrać i innemi wyrazami, nieprzytaczalnemi, które wszakże przez nadmierną swoją częstotliwość zamierzony komizm nieraz naraziły na szwank.

Te repetycje są w ostatnich czasach wdwójnasób gniewliwe i lekceważące, jak w mowie, którą Piłsudski wyrzucił z siebie, gdyż trudno powiedzieć: wypowiedział, w senacie dnia 28 lutego przeciw „grochowi z kapustą“ budżetu wojskowego, a potem w Sejmie, którego wartość określił powielekroć wyrazem z patologji żołądka, a wreszcie w przemówieniu na obronę b. ministra Czechowicza w Trybunale Stanu. Za każdym razem nie żałował oskarżeń i potępienia, szyderstw i „libacji z dziewczynkami“ i przeproszał, że „wyszedł poza normy zwykłych określeń, związanych z krytyką działania sejmu“, lecz nie mógł inaczej swej niestrawności, po spożyciu takiego specjału, oznaczyć.

Takie wyjścia poza normę są u Piłsudskiego na porządku dziennym. Sto razy już skarżył się na taką moralną dyspepsję, a nawet na obrzydzenie. Miałem sposobność czytać dedykację, jaką ozdobił egzemplarz „Roku 1920“, ofiarowany generałowi Julianowi Stachiewiczowi, a więc rzecz ściśle prywatną. „Nie mogę zapomnieć ciężaru duszy i pewnego obrzydzenia, jakie mi pozostały w pamięci z powodu braku istotnej i uczciwej pomocy...“ Bowiem wydawało się Marszałkowi, że owe plotki, oszustwa, zdrady i kłamstwa miały poprostu „na celu oddać jego osobę i Polskę nieprzyjacielowi dla pokrycia nadużyć“. Było to pisane w sierpniu 1925 roku.

Czytajmy Wykłady wileńskie i śledźmy, jak z pierwszego, pełnego wyznań, do głębi wzruszających przez obna-

zanie najtkliwszych zakamarków duszy Wodza i pełnych duszy i żądy duszy, jakiejs Wille zur Seele, treść staje się w końcu szczerem, dumnym wyznaniem Marszałka, że w tym rozdziale idzie mu o „publiczną obronę siebie, obronę nie w znaczeniu prywatnie osobistem, lecz obronę swej postaci historycznej“. A tak samo, jak w tym epizodzie pociesza się, że kiedyś dzieci jego i dzieci tych, którzy oto go słuchają, „z radością myśleć będą o tem, jak ongiś w obronie Polski występował niejaki Józef Piłsudski“ — tak w słynnej, pamiętnej mowie, wygłoszonej w Bristolu po ustąpieniu z rządu, w mowie tragicznej, Korjolanowej, odpychał koszmarnie sąd własnych swoich dzieci i przyszły sąd historyków, „którzy także w twarz mu będą pluli“, że został u steru i pracował razem z potwornymi karłami, którzy go obniżyć chcieli. Zapytywał siebie, czy mógłby jako żołnierz bronić „takich ludzi“ i zaczął się wahać, a gdy się raz zawahał, postanowił ustąpić.

Takich przejść Piłsudski wybrał kilka z kręgu motywów warszawskich, istotnego „wieńca melodji polskich“. Nie przytaczam ich, bo je znamy wszyscy dobrze i pamiętamy i nawet Matuzal pamiętałby je do samej śmierci.

Od człowieka, co takie miał przeżycia i na orgiazmy zrących się wzajem nienawiści patrzył zbliżka, a jego podmuchy samumowe uczuwał na sobie — wymagać, żeby styl jego płynął jak miód Hymetu i złościł się, jak pszczoły Zaratustry — byłoby dość zabawne. Stać nad kraterem Wezuwjusza i śpiewać pieśni neapolitańskie mógłby może lazzaron włoski, ale nie twórca wojsk i wskrzesiciel ducha rycerskiego i czynnego patryjotyzmu wielkiego narodu. U takiego mowa ustna czy pisana musi być formacji wulkanicznej, eruptywnej. Tłumaczono ruch rąk „Mojżesza“ Michała Anioła tem, że chwyta się on za brzuch ze zgrozy i gniewu na modlących się do złotego cielca. W Józefie Piłsudskim w podobnyż sposób trzewia się targały; targały się jeszcze, gdy ze Słowackim zatrzymywał się na „Grobie Agamemnona“.

Tylu ludzi się zżyma i obraża, że z pod miecza jego drwin padają takie iskry, jak świnię, małpy, karły, sute-nerzy. Tylu „cywilów“ się gorszy sukursem z kolekcji ślą-

ska - wielkopolskich i staropolskich winietek słownych. Pewien uczony niemiec, widząc to zgorszenie, przypomniał mi, że sławny wódz Götz von Berlichingen „z żelazną ręką“, bohater dramatu Goethego — używał wyrażen o całe „niebo“ mocniejszych i dosadniejszych, a bywali inni tacy, jak on. Największy z polskich artystów słowa, Juliusz Słowacki, zapisuje w swoim Raptularzu (prawdopodobnie z powodu jakiejś sensacji finansowej): „Kredyt pana Cieszkowskiego nad głową polskiego narodu jak kopuła. Król polski nie potrzebuje tronu z dziurą i pod tronem próżni, bo nie siada laksować pieniędzmi“. Dwóch największych pisarzy ostatniej doby, Wyspiański i Żeromski, wyrzucało z pod młotów swych takie same skry. Stanisław Śmiały, brat po duchu Bolesława Śmiałego, nie żałuje w „Weselu“ „plucia w pysk“ i nie wzdraga się odróżniać orla od, dajmy na to, śmieciuchy:

*Ptak ptakowi nie dorówna,
Nie podleci orzeł w*

A Żeromski? A „Przedwiośnie“? A owo ciągle smaganie społeczeństwa? Przypomnijmy sobie choćby taką niby ulotkę, która przecie powinna była być uprzejma, zabiegająca, przypoehlebna: arkusik druku, nawołujący do poparcia kasy im. Mianowskiego. Stawia on w równym rzędzie obok bolszewickiego czynu „wiecznej hańby“, jakim było zamordowanie znakomitego polskiego profesora lotnictwa, Witolda Jarkowskiego, czyn „niesławy Polski, która nieumiała jego prac drukiem ogłosić“ — i kończy słowami: Oto obraz dwu „kultur“ sąsiadujących.

Jeśli na ogół przed odrodzeniem Państwa urągano „Żydom i Polakom, nacjiom wypędzającym bardzo starannie z głowy wszystko co pachnie wojną“ (słowa Piłsudskiego: „Moje pierwsze boje. Nowy Korczyn — Opatowiec“), — przypominało to owo romantyczne: „Na Termypolach? Nie, na Cheronei każę się memu załamać koniowi“, to po przywróceniu niepodległości nie mniej częstym bywał dawny okrzyk Słowackiego z tej samej groty druidycznej zwrócony do Polski: „Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!“ Jak wiadomo, a Piłsudski najlepiej o tem wiedział, urodzony w niewoli, gdy mu wolność powrócą, chętniej się solidary-



zuje z kajdanami, niż z kajdanołomcą. Nie dziw więc, że np. w ostatnim z wykładów wileńskich podejrzewa, że cała zawziętość podjazdowej walki przeciw niemu — ma na celu wydanie Rzeczypospolitej w ręce wrogów. Jest to jeden z jego motywów przewodnich, widocznie dobrze i gruntownie sprawdzony.

Piłsudski w swej teorii rewolucji i filozofji wojny daleko wyżej stawia namiętność niż pedantyczną technikę. Ostatnio tezę tę, niby zasadniczy zrąb swojego poglądu na tajemnicę zwycięstwa, wypowiada szeroko w najnowszej publikacji swej „Z historii militarnej powstania 1863 roku”. Czyż jest dziwne, że rządzi się w wysłowieniu tą samą pasją i uczuciem, od chwili, kiedy w roku 1914 już podczas pierwszych swych bojów, nabrał przekonania, że system „szykano-personalny” austriaków łączy się z szalbierstwem swoich? Ale w tych samych opisach pierwszych walk, kiedy nie jest jeszcze zatruty nieufnością i rzucane mu pod nogi kłody nie zdążyły ich jeszcze poranić, jakże słoneczny jest i pogodny, jak młodzieńczo - liryczny i zapalony jest język, którym opisuje wszystkie perypetje marszów i potyczek i jednocześnie wszystkie zakosy swoich stanów psychicznych i namysłów wewnętrznych — język, którym przemawia do swoich chłopców - strzelców lub dzielnosć ich sławi! Jak długo zostaje w czystej atmosferze wojny, jakże ten język jest giętki, kolorowy, bogaty, płynny, malowniczy! Mówią o nim często, że podnosi się „do wyżyn sienkiewiczowskich”. Jest różnica. U Sienkiewicza jest prostota, chciana i umyślna, w „Pierwszych bojach” niechciana i nieumyślna, samorodnie z natury płynąca i taka, że inną być nie mogła. Jeśli jest jakie podobieństwo, to chyba w dobrym humorze, w dużym zasobie środków opisowych i ekspresyjnych. Echo szczęścia i dumy, jak świt i zorza przywionęło aż do twierdzy Magdeburskiej, gdzie te karty były chyłkiem pisane.

Lecz gdy zaczął się taniec św. Witosa i innych świętych obłędnej partyjności swojskiej, Piłsudski nie delektuje się już poezją, jak na wstępie tych ujmujących i fascynujących zapisków, nie przyznaje się raz po raz do świętego romantyzmu, nie upaja się swą swadą, lecz tnie nią jak

mieczem. Wtedy to, zwłaszcza od roku 1923 zaczynają się żołnierskie rozprawy z najjadowitszym wrogiem — wrogiem powrotu Polski do potęgi i siły moralnej. Wtedy przemawia do wszystkich tak, jak Słowacki mówił o „frycach warszawskich” („Beniowski”), realnie, namacalnie, sięgając aż do bebeczów. Czasy bowiem już wtedy są pod każdym względem realne, brutalne, czasy powojenne. Z „Schönggeistami” „skończyło się. Piłsudski jakgdyby narzucił sobie halucynację, że jest w obozie i sarka po obozowemu — styl jego świszcze jak kańczug, jest drapieżny, miażdżący. Nie przemawia do szanownej publiczności, lecz jak ten, co „mogąc wybrać, wybrał zamiast domu gniazdo na skałach orla” i z wysokości tego gniazda obrzuca — nie tylko wzgardą — czcigodny dół.

Realizm, czy nadrealizm, króluje u nas wtedy wszędzie: w uczuciach, ideach, w literaturze. Słowo zrzuciło listek figowy, a poeta i literat przestawał się uważać za pozbawionego prawa do słownika codziennej, nie ubarwionej i nie wyszminekowanej rzeczywistości. Poeta kunsztowny i wirtuoz formy. Leopold Staff, pisze pean do „Gnoju” i to mu nie przeszkadza bynajmniej być polskim parnasowcem i obcować w dalszym ciągu z Leonardem da Vinci i św. Franciszkiem z Asyżu. Kazimierz Wierzyński w swym „Manifeście szalonym” nawołuje:

Dosyć bezplciowych literackich stylów!

A Julian Tuwim pisze w swej „Wiośnie” dytyramb nagi i goły, jak żebractwo łódzkie i bezwzględny, jak manufaktura widzewska i chutny jak pijany tłum. Poezję zaś ściąga na ziemię, na drogę życia, „na której zespoli się wkrótce myśl i żelazo, westchnienie i Miasto”.

Piłsudski, jako „aparycja” społeczna i literacka, jest żywym zaprzeczeniem wszelkiej aparycji teatralnej.

Czytając go, widzimy „mundur na nim szary” (wiersz Lechonia) i nie hełm z jakimś pióropuszem, lecz zwyczajną maciejówkę. Albowiem jest on produktem i syntezą czasu, przekrwionego dynamiką powojenną i bezlitosnem, bezsennem pilnowaniem celu. Przecież to doba do szpiku kości zraccjonalizowana.

Piłsudski nie uznaje imperjalistycznego, empirowego baroku Napoleona, choć z jego szkoły natchnienia bezpośrednio wyszedł. Nie drapuje się — i trochę są śmieszni ci, co go udrapowanym rysują i malują. Nie grozi jak „Bóg wojny“ tym, co by się ważyli sięgnąć po jego koronę: *Dio me la diede e guai a chi la tocca!* — jak brzmią słowa korsykańskie z jego rozkazów. Piłsudski daje na każdym kroku swych relacji bitewnych, szczerą, spowiedną, nagą duszę wodza i aż zakulisową tajemnicę wodzowania. W „Swych pierwszych pojach“ z wzruszającą serdecznością opowiada, jak się przemknął cudownie z swemi dwoma tysiącami strzelców przez korytarz Włobrom — Kraków, otoczony żywemi zwałami wojska rosyjskiego („Ułina Mała“) jakby wnętrznościami potwora. I ten dziw nad dziwy: odwagi, męstwa, roztropności, intuicji i samodzielności, przedstawia wszystkim, jako rzecz tak prostą i naturalną, że potem wszystkim pchłom, którym dano w dzisiejszej „Europe Galante“ — Pawła Moranda — „prawo zjadania lwów“ — wydaje się, że i one mają na głowach żelazne korony i one były w paszczy wieloryba.

ROZDZIAŁ III.

GORSZYCIEL CYWILÓW.

Niewątpliwie żadna mowa Piłsudskiego i żaden jego artykuł nie oszołomiły tak całego inteligentnego społeczeństwa cywilów, jak wymowne zwierzenie p. t. „Dno oka“, rozesełane do dzienników.

Gdyby historia, jak wszelka historia wogóle, nie musiała być dobrze wychowaną, cała ta enuncjacja lub conajmniej jej streszczenie lub wyciągi z niej znalazłyby się na kartach dziejów, tak silny był to wstrząs w powszechnym drżemiącym nastroju, taką silną był i rozmaicie odczuwaną sensacją i do tak wrzaskliwych dał powód komentarzy. Nie tylko komentarzy, ale nawet wniosków, których - by się i Kasandra nie ulękała.

Ale tenże sam ogół prędko się przesycił i jak zawsze znudził swoim strachem i zamieszaniem, i odzyskawszy dobry humor, zaczął sam półgębkiem stosować gorszące wyrażenia, któremi narodzynkowane było „Dno oka“. Po przymierzeniu tych wyrazów i epitetów do różnych spraw i stosunków, okazało się, że pasują jakoś nie najgorzej, że tedy można z tą nadmierną ilością przypraw w cieście żyć.

Najciekawsze zaś, że w sferach wojskowych, z którymi miałem sposobność stykać się, nikt się swoistą pikanterją stylu Piłsudskiego nie przerażał i nikogo nawet w podziw nie wprowadzały. Jeden z pułkowników wyjaśnił mi nawet, że właściwym autorem nazwy nowej choroby, w którą Marszałek uderzał, niczem cymbalista Jankiel w swój zdąsany ton — był znany malarz legjonista, major Dobrodzicki. Inni zaś bez specjalnego przypominania sobie, bez specjalnego sięgania w przeszłość, wiedzieli, że do lekkiej pod ręcznej broni Piłsudskiego zawsze należało kilka słów bardzo nieprzyzwoitych i nie dla cywilów przeznaczonych.

Jeśli jednak w opinji, politycznie dość neutralnej, w każdym razie niezacietrzewionej, burleskowy kolor artykułu prędko wypływał, to dla ojców ojczyzn, zwłaszcza

tych, co ongi wykryli, że z Belwederu prowadzi potajemny drut do Sowietów, rażąca etykietą forma artykułu ozna-
czała: *finis Poloniae*. Nazwano ten sposób przema-
wiania do narodu rozbijaniem państwa od
góry. Wprawdzie trudno było zrozumieć, w jaki sposób
rzecz tak dolna jak powalana koszula mogła rozbijać ca-
łość narodu od góry, no, ale tak się pisało, rozdzierając
przytem już nawet szaty zwierzchnie.

Byli i tacy, bardzo liczni sędziowie, ludzie dobrzy i do-
brej wiary, którzy w „Dnie oka“ dopatrywali się sympto-
matów niewątpliwiej a nawet nieuleczalnej choroby i wi-
dzieli przyszłość, w otuleniu żalobnym kirem. Znacznie
mniej było trzeźwo patrzących, jak pewien lekarz, już
zrównoważony, znawca dusz ludzkich, który tak się o Pił-
sudskim odezwał:

— Jak się ten człowiek musi męczyć!

Był to głos człowieka subtelного, który w tym wypad-
ku czuł zwyczajnie po ludzku, że kto tak smaga do krwi,
a jest uczuciowym bez miary, ten musi się niehumanie mę-
czyć. I był to mimowolny wtór do owego wiersza Kazimie-
rza Andrzeja Czajkowskiego:

Nie martwcie się mieszczuchy. — Odszczekajcie płotki!

Czy my Jego kochamy? — Przecież to tak jasne! —

A czy On nas też kocha? Słowo, Wyrwa i Krótki,

Mówcie! Przecież On bił Was dyscypliną własną!

Nie cackał się nad nami! Ni o nas potykał!

Chociaż — może — sam na sam — nieraz — łzę polykał.

My moglibyśmy jednak powiedzieć, że znacznie mniej-
szego cenzusu walk i przejść dość byłoby, ażeby nawet
olbrzyma zrobić neurastenikiem i nawet pacjentem, którego
choroba wybucha jednak dopiero wtedy, gdy on się zwraca
do cywilnego społeczeństwa, a właściwie w tym wypadku
do jego wybrańców. Jest więc dla literackiego probierza
pacjentem, choć tylko w sensie ugięcia się pod wichurą
gniewu i nerwów — tych samych nerwów, których kazał
unikać sobie i innym we wszystkich swych kronikach bitew-
nych. Te same nerwy, ustawiczny przedmiot jego pouczeń,
te same nerwy, na których straży stawia przyjaciół swych
najbliższych towarzyszy broni („Stałeś zawsze generale

z kilku innymi na straży nerwów i duszy swojego wodza" pisze do generała Stachiewicza we wspomnianej już dedykacji), zmęczyły się snąć szatańskim naciskiem trollów -- Marszałek nazywa ich „zapłutymi karłami” — i ulżyły sobie swobodnymi kadencjami, już całkiem jazzbandowemi.

Rozumiał też to dawniej, aż do chwili, gdy się okazało „Dno oka” jeden z najtęższych ludzi i najczystszych charakterów w Polsce, Ignacy Daszyński, w swej książce: „Wielki człowiek w Polsce”.

Powiedzmy odrazu, że cała książka pisana jest krwią. Nigdy się chyba jeszcze nie zdarzało, ażeby publicysta, przywódca i twórca, trybun zasłużony i czczony, z takim bezosobistym zapalem budował monument innemu wodzowi, z którym ideowo w wielu punktach stanowczo się rozchodzi, i ażeby z taką siłą biczował tępotę wobec tego, co uważa za rzeczywistą wielkość. Jakże prosta i zwięzła i słusznie obelżywa dla urzędowej opinii jest uwaga, że w szkołach naszych uczą wszystkiego, tylko nie uczą, jak powstała z letargu niepodległa Polska i kto ją do nowego życia przywrócił! Albo: „Widzowie teatrów polskich tysiąc razy lepiej poinformowani są o życiu kokot paryskich, niż o życiu najznakomitszych ludzi w Polsce”.

Bismarck — przypomina Daszyński — zjednoczył Niemcy i „wsadził Germanję na siodło, został jednakże strącony z piedestału, przez kogo? przez Wilhelma II, ukoronowanego reklamistę, deklamatora i frazesowicza, który raził boleśnie starego dymisjowanego kanclerza”. Piłsudskiego walka jest okropniejsza, bowiem zasługa dźwignięcia narodu polskiego z bezładu i z bezwoli jest dziełem stokroć większem. „Sulejówek tem się różni od Friedrichsruhe, że Piłsudski ma do czynienia z wielką masą polską a nie jednostką cesarską”.

Nikt nie jest prorokiem w swojej ojczyźnie, ale zdarza się, że takich proroków ojczyzna wprost oszukuje, mówi Daszyński, a w tym wypadku tak właśnie było. Zaczęło się od tego, że siły legionowe niszczone były przez Polaków, „Polaków z rodu ale z ducha Niemców i Austriaków”, którzy nie tylko fizycznie ale i moralnie potęgę legionową marnowali. A skończyło się na czemś jeszcze gorszem:

„Olbrzymia liczba małych ludzi w Polsce zachowywała się wobec niego, wobec jego wielkiego dzieła, tak nikczemnie, tak nieludzko, że słowo grzeczność w związku z tymi ludźmi staje się, stać się musi z czasem czemś karykaturalnym”. „Oto prawda nieskończenie ważniejsza od tej, że używa on słów niedelikatnych, grubych, niemożliwych towarzysko”.

Takie oto myśli wśród mnóstwa innych zawiera ta książka, bolesny, druzgocący dokument historyczny.

A jednak po „Dnie oka” i późniejszym, jeszcze więcej rozdrażnionym komunikacie, dotyczącym jednego z generałów, Daszyński zmienił front. Niedomówione oskarżenia o czyny haniebne wytrąciły z równowagi wytrawnego trybuna. Wypełniła go gorycz i żal. Dał im dosadny, namiętny wyraz w swym liście otwartym do b. premiera Bartla. Boże, że ci co traktują posłów sejmowych „jak wyrzutki społeczeństwa”, to „ludzie wielkich zasług, ludzie otoczeni legendą najcudniejszą, jaką około jednostek może osnuć wdzięczność i najgłębszy podziw masy”. I zapytuje, co to zjawisko okropne ma oznaczać.

W tym liście serdecznym widać jakoby załamanie się. Widoczne jest odrazu, że zrodził się w chwili afektu i pewnego poplątania faktów. Bo czyżby inaczej miał Daszyński prawo wychwalać nagle tę wdzięczność, której właśnie potworny brak w masie narodu dał mu pochop do napisania książki o tak znamienitym tytule: *Wielki człowiek w Polsce?*

Jasne jest, że te same nieszczęsne nerwy, którym Piłsudski tyle razy z dobrym skutkiem mówił na polu bitwy *a p a g e s a t a n a s* i które ostatnio froczę sobie powetowały tyloletnie milczenie, udzieliły się i marszałkowi Sejmu. Poddął się więc podszeptowi chwili narówni z ludźmi, nieumiejącymi patrzeć z perspektywy.

W ten sposób, w całokształt życia politycznego wcisnęły się upiory rozdrażnienia. Nawet najbardziej przytomni wpadli w pewien stan psychozy. Jakgdyby zmartwychwstały sceny i obrazy z „Księdza Marka” i rozlegały się na nowo smutne i genialnie portretujące słowa, włożone w usta Kazimierzowi Puławskiemu:

*Ten lud, widzę, cały chory,
Wszędy, gdzie oczyma skinie,
Widzi ogień i upiory,
A ja wszędy w tej krainie
Widzę jedną wielką bliznę,
Jedną moją cierpiącą Ojczyznę.*

Nie tak dawno temu, jeszcze przed czterema laty, tej ekscytacji nie było, chociaż wtedy już, w słynnym przemówieniu na VI zjeździe legionistów, Piłsudski cisnął w opinię i pod adresami nieuchwytnymi wszystkie swoje oskarżenia o fałszowanie dokumentów historycznych i eskamotowanie ważnych papierów, szydził z pajacowego reklamowania faworytów ulicy, niby ulubionych koni wyścigowych, i z wszeteczeństw różnego rodzaju. Mowa to była przecież tak gwałtowna i pełna zniewag, że ją dla zdyskredytowania mówcy wydali w osobnej broszurze, wraz z kilkoma „aktualnościami politycznymi” wrogowie. Ale celu swego nie osiągnęli. Gdy się tę mowę czyta dzisiaj, uderza nas w niej wybuch porówno niehamującego się żalu, jak i pysznego krwawego sarkazmu, o retoryce całkiem swoistej i ironji zabójczej, liryce pierwszorzędnej, choć zgoła nieklasycznej. Nie wiele zaszkodziły jej najzgrzytliwsze słowa, użyte do oznaczenia nicości moralnej, słowa takie, że wydawcy mogli je tylko wykropkować.

Pomiędzy fragmenty bajki o Kopciuszku, opowiedziane stylem i natrącane dźwiękiem jakby szklanej harmoniki, akordami, złożonemi z miłości, tkliwości i przymilności wyobraźni dziecięcej, wplata epizody historyczne o roku 1915 i roku 1918 i o sobie samym. Trudno powstrzymać się od przytoczenia niektórych z nich:

„Dziś powtórzę anegdotkę o sobie, która legunów do śmiechu pobudziła. We wszystkich kabaretach i jasełkach szła ta anegdota.

Co to będzie z naszym komendantem, gdy mu krzaczaste brwi i wąsy skrócą i na każdym portrecie inaczej wygląda?

Trzeba Piłsudskiemu dobry portret zrobić, bo powiedzą później, że takiego Piłsudskiego wcale nie było.

Jak mu zaczną wasy skracać, brwi skracać, dokumenty fałszywe pisać, to z niego zrobią Sikorskiego.

Komendanta trudno zfałszować, a udać absolutnie nie można.

Komendanta zfałszować trudno.

Pantofelek od królewicza „zafasował” i coś z nim zrobić? Bo co się stało nie odstanie, nie pomoże nawet Bóg.

A wy leguny się strzeżcie, bo i was fałszują“.

A nieco dalej:

„Granice fałszu są w Polsce niesłychane.

Byłem Naczelnikiem Państwa, przewodniczyłem w wielu obradach, a każdy protokół bezczelnie fałszowano.

Radzę historykom niewierzyć polskim protokołom“.

A zaznaczywszy, że miał znanych sobie dobrze dowodów, potrzebnych do dzieła o roku 1920, znalazł fałszywe, mówi:

„Na moją biedną głowę spadało i spadać będzie, że ja nieledwie zdradę planowałem“.

„Dlatego ostrzegam, bo kiedyś was mogą zohydzić i to w niedalekiej przyszłości może.

Gdy moje pannie, Wandzia i Jadzia, pójdą do matury i mieć będą egzamin z historii swojego tatusia, to spalą się dziewczuchy napewno ze wstydu i karierę dziewczuchom zepsują. Patentu nie dadzą. Jasno dziewczuchom udowodnią, że tatuś był nieponiem.

Udowodnią, że róże i ciernie należą się Sikorskiemu i Szeptyckiemu.

Strzeżcie się Leguny i piszcie swe dokumenty!“

Cała ta filipika to jakgdyby ojciec bawił się miłością i czule z dziećmi swymi i jednocześnie w tajemnicy przed nimi łykał piołun wzdąry i bólu; jakgdyby trzymał w ręku pantofelek Kopciuszka „srebrem sypany“, widział „suknię białą na rękę i kopyta bijące rumaków siwych“ — to znów krew, róże i ciernie i prawdę skrzydlatą bajki, a jednocześnie dostrzegał na drugiej szali „kanclerskie głowy, referenty, atramenty“, nie woniejące bynajmniej. My zaś wiemy, że takie wonie zdarzają się i w najbliższym sąsiedztwie róż.

Ma ta djabatryba swoje piękno niesamowite, swój rytm naiwnej poezji prozą i nagle swoje hetmańskie przygrywki z bronzu: „A sam pan generał będzie ubierał w maciejówkę łeb“ — co pewien czas powtarzane.

Wyrazów piekących, jak najbrzydsza nagość, to znowu, jak rozpalone żelazo — pełno, ale i słów spiżowych wielkie mnóstwo. Myślę, że czuli to nawet wrogowie. Dobrze, że ten dokument, pokiereszowany kresami odrazy do nich, ale i pełen sarmackich pogłosów poezji, od zapomnienia uratowali.

Jeśli zapytamy siebie, dlaczego ta mowa, pomimo swoich słownikowych ekscesów, jest w swej całości i piękna i sentymentem eligijnym nabrzmiała, to odpowiedź może być tylko jedna: jest w niej fantazja człowieka, który się jeszcze nie poddaje gniewowi, lekka, swobodna, choć jak zawsze skrajna w wyrażeniach, gdy natomiast mowy późniejsze gniewem tym a w każdym razie rozdrażnieniem nerwowem się szarpią. Nigdy gniew, nawet na wysokościach wielkiej chwały czynu i heroizmu, nie jest dobrym ornamentystą w rzeczach stylu.

Ale czy nie byłoby kryterjum najwłaściwszem, gdyby się wogóle tych ekstrawagancji nie brało tak bardzo dramatycznie? Trzeba sobie powiedzieć: Piłsudski zajął odrazu stanowisko tak górne wobec wewnętrznych nieprzyjaciół Polski, tytułujących się jej filarami (nie pierwszy to raz tego rodzaju perwersja polityczna przychodzi do głosu w Państwie Polskiem) i władza Sejmu wydaje mu się czemś tak drobnem i nieznaczącem wobec postulatów silnej Polski i dogmatu potężnej woli jednostki czynnej i poświęcającej się, że wogóle lekceważy sobie wszystko, co taką samą rozumną i potężną wolą nie jest. Nie jest to obraza kultury, ani przyzwoitości, jak się kawiarniom i salonom wydaje, lecz deptanie stopą wszelakiej małości, to znaczy generalnego braku dumy, woli i wyższej, dostojnej cnoty rzymskiej.

Przyczyną wzgardliwych wycieczek Piłsudskiego jest to, co się od czasów Nietzschego nazywa: „Pathos der Distanz“.

Już dzisiaj, kiedy ucho oswoiło się z renesansowymi zaklęciami Marszałka a świstki humorystyczne zrobiły z nich szczodry użytek, widzimy, że się od nich dziura w niebie nie zrobiła. Zdarza się nawet, że jakiś sprytny kolporter uliczny sprzedaje zabawkę, której daje nazwę wziętą z przemówień Piłsudskiego. Nareszcie więc znalazł się na bulwarze Krakowskiego Przedmieścia lub Nowego Świata moment iście paryski! I trudno powstrzymać się od refleksji, że w Paryżu jużby dowcipna ulica podchwyciła nowe hasła i nowe „nieprzyzwoitości“ i od razu tragizm odzyskałby swoje właściwe oblicze: komizmu. I słyszałoby się na wielkich bulwarach: *Maréchal Sans-Gêne!*

Jest jeden rys w intelekcie Piłsudskiego, który pozwala sprowadzić do właściwego znaczenia jego nonszalancką językową. Oto zajmuje go zawsze tylko istota rzeczy. Widać to nie tylko z wielkiej przewagi realnych ważkich myśli w każdym jego artykule, ale i z jego wyznań o tem, jak na literaturę patrzy. Skąpe ale oświetlające dane, które wyniósł poeta Lechoń ze swej wizyty w Sulejówku, w jednym się zgadzają. Piłsudski mówi zawsze tylko o istocie rzeczy. Gdy dotyka np. „Wojny i pokoju“ Tolstoja, to podnosi jedynie żelazną logikę powieści. W Wyspiańskim odczuwa przede wszystkim ducha wolności i niepodległości. Zachwyca się „Beniowskim“ Słowackiego i kiedyś nawet, siedząc w cytadeli, napisał poemat w jego duchu (p. t. „Cela Nr. 26“), dlatego oczywiście, że „Beniowski“ najsilniej dyszy uczuciem oburzenia i zarazem entuzjazmu i najbliżiej odpowiada jego własnej psychice. Potępia też swoją skłonność do dygresji, i chociaż zadowolony jest ze swojej zdolności do metafor, to jednak widzi w niej zło, gdyż ona psuje mu kompozycję. Idzie mu przede wszystkim o oś, ośią wszystkiego powinna być radość, wolność, poczucie siły, bo bez nich wogóle nie warto żyć; w te iskry trzeba dmuchać, ten ogień trzeba z ludzi wydobyć.

Przy takim stosunku istoty treści do wszystkiego, co jest wtórne i podrzędne, rzecz prosta, iż strona literacka zostaje zupełnie podporządkowana treści, a cała treść głównemu jej celowi. Reszta to owe metafory.

Metafory jednak, czy w ustach podhalańskiego górala, który ma do nich szczególną zdolność, czy w ustach pisarza, zawsze są środkiem czysto ekspresyjnym, obrazem, który ujmuje istotę rzeczy za pomocą lapidarnego skrótu. Piłsudski jest w tym szczególnie mocny, a jego ostatnie przenośnie i symbole aż do „mordu rytualnego“ dokonanego na byłym ministrze Czechowiczu, to także świadectwo głębokiego odczuwania, prawie, że bolesnego, prawd.

Tą istotą rzeczy, temi prawdami Piłsudskiego, jego ideami i poglądami, zająć się musimy jeszcze gorliwiej, niż jego formą i techniką pisarską. Są to bowiem górne piętra jego umysłowości, nadbudowa, bodajże od stylu jego wzlotów i jego „gorszących“ dysonansów i wycieczek, z historycznego i twórczego punktu widzenia — donioślejsza.

ROZDZIAŁ IV.

ANIMISTA I PSYCHOLOG.

Wszystko, co Józef Piłsudski opisuje, przeżywa lub udowadnia, jest psychologicznie prześwietlone. Duchowa strona wydarzeń jest do ostatecznych granic wylegitymowana: sprężyny uczucia, stany emocjonalne, objawione nam są bez reszty.

Tak się objawia jego szukanie i wyczuwanie istoty rzeczy.

Piłsudski jest przede wszystkim umysłem niezrównanie przenikliwym. Słyszy, jak trawa rośnie. Rozumie on i zna to wszystko, wśród czego się obraca, z czym ma przyjaźnić się lub walczyć. Czy to będą armatki przestarzałego systemu, które śmiesznie dymią, jak wulkany, a po wystrzale rzucają się, podskakują lub przewracają się jak pieski na uwięzi (są to tak zwane „Wenrdle na kółkach”—Wenrdle—dawne karabiny systemu Werndla), czy straszliwe kuferki ciężkiej artylerji, o których mówi w ten sposób:

„Ten odgłos gdzieś z góry zbliża się tak powoli, że oko bezwiednie szuka go w powietrzu, a zarazem tak złowrogo i nieublaganie świszczy i szepleni tam coś w powietrzu, jakby mówiło ono: „Nie ujdiesz. Ja, śmierć pewna, idę ku tobie, a idę powoli nie spiesząc się, bo chcę widzieć, jak twarz ci błędnie przedtem nim umrzesz“! „W tym złowrogim świcie pocisków ciężkiej artylerji jest odcień chichotu, chichotu siły złośliwej, pewnej siebie, leniwie poruszającej się i urągającej bezsilnemu człowiekowi. Niema w nim tego pośpiechu, gorączki i krzykliwości polowych armat i ich pocisku.“

Rzecz prosta, iż „ziemia ciężko westchnęła przyjmując w swe łono tego potwora“.

A oto jak naświeśla trzy rzeki:

„Wisłka, biegnąca przez pola polskie, szara Wisłka o zwyczajnym prądzie. Dunajec rwie i pędzi z gór, wlatuje do Wisły, chcąc jakby złamać i zniszczyć jej szare życie, czyniąc je żywym i barwnym. Od północy sprzeciwia się te-

mu leniwa, błotna druchna Wisły — Nida i nazwy jakże odpowiednie! Wisła jak Wisła; ucho bierze tę nazwę tak zwyczajnie, jak jakiś chleb powszedni — dźwięku. Dunajec rodzaju męskiego, jakaś prasłowiańska nazwa — Dunaj bezwiednie się przypomina. Nida najzabawniejsza! Nie mogłem nigdy się oprzeć chęci dodania do nazwy dźwięku G — wyjdzie wtedy Gnida. W miękkim łóżku, nie wśród puchów lecz błot płynie jak gdyby się leniła nawet myśleć.

Podobnie obdarza duszą prawie ludzką konie a zwłaszcza swoją własną wiejską klacz Kasztankę. Wszystko ożywia przez to i jednocześnie uplastycznia charakterem patosu lub komizmu.

Z mocy znanej nam już równobieżności przeżyć i ich wtóru lub podłoża psychicznego, Piłsudski kąpie wszystko w tworzywie rozumowo uczuciowym. Ono tedy odrazu samo przez się nadaje oblicze odrębne, subtelne i nasyczone życiem wzmożonem wszystkim rozdziałom historii, pamiętników i graniczących prawie z djarjuszem zapisków, takich, jak „Moje pierwsze boje”. Stają one tedy na progu malarsko-psychologicznego artyzmu lub go łatwo przekraczają.

Wszystko, z czego się zwierza przed czytelnikiem i z czego się wywnętrza przed słuchaczami oficerami, jak na przykład cała praca jego ducha przed zajęciem Wilna, lub przed bitwą pod Limanową, to czysta uderzająca profana psychologja w o d z o w a n i a, rozmowa z własnymi obawami i sumieniem, borykanie się z tem, co nazywa nerwami swoimi i żołnierzy, zadowolenie z tego, że „morale” wojska jest nienaruszona, wreszcie przygotowywanie się na klęskę, to znaczy na „hekatombę” całego swego oddziału i bronienie się mającej rozpacz, która gdyby nadeszła, to nie czekając końca „w łeb by sobie strzelił”. Jest to tedy zwalczanie wszelkich podstępów słabości i zwątpienia lub też niedomagania fizycznego. Jeśli bieg kręty wypadków jest kinematografem, to te spirale i zygzaki własnych uczuć historyka — opowiadacza są poprostu autoanalizą, autopsychologją.

A jakże przenika nawskroś innych ludzi, zarówno wielkich jak małych, zarówno pojedynczych jak całe gromady,

narody. Jest najnieufniejszym człowiekiem pod słońcem, nazywa siebie w „Wykładach wileńskich” *tout court*, chytłym Litwinem; gdzieindziej — niewierzącym nikomu; owdzie przyznaje się do lisich wybiegów. Przenika nietylko politykę ale i podświadome zamiary państw, z którymi Polska ma walczyć, i dla tego jest wśród nich i wśród wszystkich sugestji, dorad i namów, przyjaciół i kusicieli, wcieleniem niewiary i ironji. Jakże zabawnie choć dyskretnie i delikatnie nie liczy się z kunktatorstwem i ostrożnością Paderewskiego w kwestji zajęcia Wilna, jak nie wierzy powadze jego obietnic przysłania z zagranicy jakiegoś decydującego rozwiązania sytuacji, chociaż czci wielkiego pianistę za jego wysoką ideowość! Ileż soli attyckiej jest w jego żartobliwym umacnianiu się w samodzielności, która przecież była mocna odrazu, i z jakim pysznym, nie obraźliwym wcale humorem opowiada, jak otrzymał wreszcie owo upragnione wyzwajające słowo czarodzieja Paderewskiego, ale właśnie wtedy, kiedy on, Piłsudski, stał już obiema nogami w Wilnie.

Szczególnie dosadnie zazwyczaj wypadają jego szkicowe portrety oficerów austriackich a także i rosyjskich a najwięcej owych śmiesznych Polaków w mundurach czarnożółtej monarchji, którzy w swej bucie patryjotycznych analfabetów i narodowych niemowląt nie wiedzą, jak się zachować wobec Komendanta i jego kolegów, i zostają potem po wyjściu z kwatery wodza delikatnie ale zato namacalnie uświadomieni przez strzelców — oczywiście, działających na własną rękę.

Jednym ze zdań bardzo często spotykanych w pismach Piłsudskiego jest: „Badalem psychologję, albo: badałem psychikę i t. d.” Niektóre zaś prace marszałka są istotnie albo przekrojami psychologicznymi albo charakterystyką psychologiczną, pomimo, że w ich tytule i założeniu nie zapowiada się bynajmniej przewaga psychologii. W jednym z wykładów wileńskich poświęca cały rozdział „analizie duszy dowódców”, polskich, francuskich, rosyjskich, japońskich, a przede wszystkim Napoleona. Są to ciekawe sylwety impresjonistyczne.

Trzy są ponadto studia Piłsudskiego, tą przewagą psychologii nacechowane. Wzięły się one z odczytów i poszły w świat jako książki: „Rok 1863“, „O wartości żołnierza Legjonów“ i „Psychologja więźnia“ — mimowolna trylogja.

Pierwsza z nich, mająca na celu odróżnienie tego, co było w powstaniu styczniowym wielkie, od tego, co było tylko wybitne, jest w gruncie rzeczy głęboką, niemal metafizyczną psychologją. Poza kręgiem istotnej wielkości znaleźli się wsławieni przez historję aktorzy dramatu: margrabia Wielopolski, Mierosławski, Langiewicz — „dyktator operetkowy“, Zygmunt Podlewski i nawet mocarny bohaterski Traugutt. Prawdziwa wielkość, owa niedająca się materialnie określić, to był Rząd Narodowy, jako cud siły, cud istotnej wielkości. W nim to widać „ogromną siłę zbiorowej energii i moralnej chęci poddania się woli swego własnego polskiego rządu“. Symbol tego rządu był tym potężnym bóstwem czy berłem, przed którem pochylali głowy wszyscy pomimo wściekłych różnic i tarć partyjnych. Rdzeń psychologiczny momentu jest w tem, że gdy na powierzchni był pokój boży „szui zbiorowej, treuga Dei tchórzów“, to wewnątrz pod progiem świadomej opinji, była wściekłość“ cudu pracy, siły zbiorowej wysiłków woli, siły moralnej, słowem coś, co autor określić umie tylko za pomocą sześciowiersza z „Beniowskiego“:

*„Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co jako sztandary
Wojsk zatraczonych pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu, szkielety —
Widzę, że nie jest On tylko robakom
Bogiem i tego stworzenia, co pelza“.*

Siła fascynująca, dla myślenia materialistycznego niezrozumiała, pieczętka rządu narodowego, daje Piłsudskiemu sposobność do wskrzeszenia kilku wzruszających obrazków. Taki potężny magnetyzm narodowej świętości tkwi w tem oto przypomnieniu:

„W mieście ogłoszono stracenie powstańca. Warczą bębny ciemńczy, żołnierze stoją rotami, prowadzą skazańca. Nakaz rządu brzmi: Wy tam być musicie, śmiało oczami patrzcie w oczy skazańcowi, niech umiera wśród swoich.

Cisza zaległa ulice, gdy warczały bębny. Patrzono w oczy śmierci, mówiono skazańcowi: idziesz na śmierć ale my jesteśmy z tobą“.

Jeżeli gdziekolwiek wyraz cud został dobrze użyty, to właśnie tutaj, w zastosowaniu do rządu narodowego, jako potęgi królującej bezwiednie, jako królowania sprzecznego z pozorami bezkrólewia. Ten akord zbiorowy, niewiadomo skąd wzięty i gdzie poczęty, z dotychczasowymi nałogami charakteru spreczny, jest rdzeniem psychicznym wielkiego dziejowego momentu, który, jak to zobaczymy dalej, potężnie wpłynął na całą ideologję Piłsudskiego. Druga książka jest nie tylko pochwałą dla wielkich walorów legjonisty, lecz zarazem jego psychologiczną charakterystyką. Jest to zarazem wesoło poważna gawęda o nowym typie Polaka, nawet nowym typie kulturalnym, w którym łączy się wysoka zdolność asymilowania innych żywiołów i zdobywania ich sympatji i solidarności darem brawury i wesela, beztróską wobec niebezpieczeństwa, miłością synowsko-braterską dla wojska, w którym służy, i świadomością wysokiego posłannictwa. Jest w tym obrazie legjonisty cała psychika, która się odbiła tak różnobarwnie, strzeliście i bogato w pieśni legjonowej i znajduje swój punkt kulminacyjny w ukochaniu wodza i sztandaru, czci dla chwały i dla religijnego wprost ubóstwienia wielkości.

Istotnie zaś budującą osobliwość jest trzecia książeczka, która wydana została także w języku francuskim, p. t. *La Psychologie du prisonnier*.

Rzecz ta nie ma nic wspólnego z opisami cierpień własnych jak te, które znajdujemy w martyrologjach sławnych więźniów, w słynnym np. dziele włoskiego pisarza Silvia Pellico *Le mie prigioni*, albo ciężkich przeżyć zwykłych więźniów jak w *Zapiskach z umarłego domu*, *Dostojewskiego*, albo choćby w zbiorowej księdze legjonistów, dręczonych przez sojuszników centralnych, tak zajmującej i pięknej p. t. „*Za kratami więzień i za drutami obozów*“. Ta strona bytu w murach więziennych nie a nie Piłsudskiego nie interesuje. Mówi o sobie, i o swoich poprzednikach w danej celi, o słynnych więźniach w ten sposób, jakgdyby do nich uderka celi czy ciemnicy

wcale nie miała przystępu. Na chłodno i czysto obserwacyjnie, przedmiotowo i prawie naukowo analizuje stan więźnia a raczej jego nowe rodzące się siły i zdolności do walki z uczuciem próżni i bezczasu; opisuje, jak każdy z nich znajduje sobie, przy pomocy minimalnego materiału swojego smutnego życia, naukowe zainteresowania, jak obserwuje, jak bada i jak oblicza i do ważnych nieraz dochodzi rezultatów.

Jak mistrzowsko przedzie z własnego psychicznego jestestwa zagadnienia życiowe lub naukowe! Opisuje dzieje duszy Żmudзина Janowicza, który był jak w żywym grobie pochowany w najsroźszym z więzień, Schlüsselburgu, i z samego siebie wysnuł ściśle statystyczne premissy do wykonkludowania konieczności wyzwolenia Polski. I tak stargał siły tem mocnem myśleniem samotnika, czy też tak przywykł do tego ponurego warsztatu pracy, że gdy go wypuszczono z turmy i wywieziono na Sybir, nie mógł już dźwigać życia i przeciął je. I czytamy o innych skazańcach i dziwnych drogach istnienia i tworzenia, które w sobie znajdowali, jak np. Łukaszewicz, wilnianin, który podtrzymywał sprawność duchową obserwacjami nad nikłą fauną i florą Schlüsselburga.

O sobie samym mówi Piłsudski znamienne: „Ja zaś zajmę się studjowaniem najwyższego gatunku fauny: człowieka” — i przenikliwie obserwował i badał dozorców więziennych, fizjonomje, typy, ruchy, mowę, zachowanie się, wreszcie sam system więzienny. Oczywiście nie tylko jak analityk, lecz i z celem praktycznym człowieka walki, który musi znać wroga swego i jego oręż i narzędzia. I przekonał się ten spostrzegacz o intelekcie nadludzko czujnym, śledzącym i zaciętym, że X pawilon cytadeli to było więzienie, nad którym panowali — więźniowie, albowem łatwo się uczyli, jak dawać sobie radę z zasiekami regulaminu więziennego.

Więzienie nie jest dla Piłsudskiego jakimś stanem wyjątkowym, lecz raczej przejściem prawie normalnem. Wie on i ze spokojną, wzruszającą siłą mówi o tem, że każdy Polak odsiadywał więzienie albo się o nie ocierał. Więzienie to nawet kolebka nowych mocy psychicznych i moralnych. Najpiękniejszą sceną w „Dziadach” Mickiewicza jest ta,

kiedy Gustaw zrzuca z siebie skórę romantycznego bohatera, slaniającego się w bólu zawiedzionej miłości, i w tym charakterze istnieć przestaje, ażeby urodzić się na nowo, jako Konrad: *Obiit Gustavus natus est Conradus*. Jedynym może odbiegnięciem autora od obiektywności wykładu jest cudna uwaga liryczna, że dzieci nasze nie rozumieją nigdy, iż więzienie, czyli to, co się uważa powszechnie za sponiewieranie, za nędzę lub udrękę, jemu i jemu podobnym wyciskało z oczu łzy entuzjazmu.

To była najczystsza w świecie psychologia, już wkraczająca w sferę nauki jednocześnie zaś wspaniale podnosząca ducha.

Jeśli użyłem wyrazu: *animizm* w zastosowaniu do Piłsudskiego, to brałem ten termin z antropologii i historii religii ludów pierwotnych, dla oznaczenia psychiczności stylu Piłsudskiego, jego potrzeby wypełniania wszystkiego duchem i duszą. Można by przeto powiedzieć, że Piłsudski wydobywa ze zjawisk duszę jako ich psycholog analityk, zaś innym zjawiskom duszę tę w łono wkłada. Jest to w gruncie rzeczy druga strona tego zjawiska intensywnego psychologizmu. Jego najwyższym wyrazem i najciekawszym zastosowaniem jest *Rok 1920*. Tutaj teoria strategiczna Piłsudskiego jest obroną systemu, opartego na technice wojowania, wyposażonej w duszę — przeciwko technice, operującej masami i automatyzmem.

W księdze tej znajdujemy pełne znakomitego wyrazu stronnice o „poniżeniu” w wojnie dzisiejszej elementu ruchu, ruchu, nad którego wydobyciem z tego poniżenia pracują najtęższe umysły. Bezruch wojny okopowej jest jej potępieniem. Martwota systemu okopów i drutów kolczastych, martwota miast wojennych, była przyczyną straszliwych hekatomb pod Verdun, gdzie prawie milion ludzi leży w zranionych granatami polach, jak przypominał Marszałkowi gen. Petain, oprowadzając go i wskazując na krwawe wzgórza. „Okopie, okopie wielki fetyszu, coś największe umysły i najtęższe charaktery zwyciężał” — woła Piłsudski. Gdzieś indziej zaś mówi o okopie, że „zniszczył on główny czynnik dotychczasowy — manewr i ruch, wdarł się zwycięsko z dziedziny taktyki do strategii... Jako dumny zwycięzca

zaczął tyć, zaczął opływać w rozkosze i żądać od prowadzących wojnę, jak Moloch, coraz to nowych ofiar... Okop tył, wzmacniał z każdym miesiącem swą potęgę i coraz dokładniej, coraz gruntowniej burzył i niweczył siłę dotychczasowego zwycięzcy wojennego, ruchu i manewru.

Podobnież pełen ironji jest Piłsudski dla Systemu „taranów i mas taranowych”, drwiąc w pewnym miejscu, że „tylko ostatnie zadanie taranu, zadanie nie zwycięstwa lecz klęski było najlepiej rozwiązane przez najbardziej taranowo uposażoną i najbardziej do tego wdrażaną armję XV” (rosyjską). Z wielkimi masami nie można było godzić ruchu. Na tej chęci pogodzenia sprzecznych elementów rozbiły się najlepsze plany. „Strategja mas w 1914 roku nie dawała zwycięstwa żadnej ze stron walczących. Wielkie zwycięstwa, odniesione przez Hindenburga i Ludendorfa, i ich śmiałe manewry na polach bitew w Polsce i w Prusach wschodnich nie należą do strategji mas, gdyż mas w ścislem tego słowa znaczeniu wodzowie ci nie posiadali. „Strategja mas zwycięstwa nie miała. Ruch mas, o którym marzyła, szybko się wyrodził w wojnę stojącą”. Piękne są te słowa, kiedy Piłsudski patrząc na zamieranie ruchu, głównego elementu zwycięstwa i na wyradzanie się go w „jakąś bezsensowną, dziką metodę zabijania ludzi”, doznawał tak silnego wrażenia, że zaczął się w końcu pocieszać, iż ludzkość drugi raz takiego tuczenia okopu nie przedsięwzięłaby, że strategja i sztuka, zakrywwszy oczy ze wstydu przy liczeniu „cyfry zabitych, cyfry zniszczonych istnień, jużby się na taką samą obrzydliwość maszynowego marnowania ludzi nie zdobyła”. I dla tego to Piłsudski dumny jest z tego, że zwyciężył nie metodą strategji mas, których nie posiadał, lecz strategją pełnego powietrza — *stratégie de plein air*, — w której zawsze jest więcej powietrza niż zaludnienia wojennego przestrzeni, — strategją, gdzie wilki i cietrzewie, łosie i zające, swobodnie ruszać się mogą, nie przeszkadzając dziełu zwycięstwa.

Patrząc, jak autor rozszerza stopniowo obręb stosowania duszy do wojny, musimy dojść do dalszego jeszcze wniosku, że cała ta wojna roku 1920 była właściwie triumfem ducha, idei, lotności umysłu i poczucia wyższości moralnej

ze strony wodza, nad bezduchem armji bolszewickiej, która do środków wojowania zaliczała przedewszystkiem zdemoralizowanie, zbolszewizowanie wojska polskiego. Gdy się ta impreza nie powiodła, Tuchaczewski skarżył się przed sowietami i tem tłumaczył swoją porażkę. Była to zatem rozprawa umysłu wolnego, panującego nad wszystkim, z umysłem niewolniczym, kierowanym przez jakąś zzewnątrz narzuconą doktrynę i doktrynerów.

Wolny umysł i duch Piłsudskiego to rezultat jego rozmachu twórczego, który i w strategji musiał sobie znaleźć miejsce. Chociaż więc chwilami, w okopie siedząc, marzy, żeby Ojczyzna jego a z nią i ludzkość cała mogły odpocząć po tych strasznych upustach krwi, to jednakże potrosze żał mu byłoby tej boskiej sztuki wojowania, która historii narodów wytycza potężne skróty. Mówi i działa jak mistrz, człowiek fantazji, pomysłu i gestu. Żądanie od wszystkiego duszy i wkładanie duszy we wszystko czyni z niego zjawisko, które w ten sposób szczery, niewyszukany, opiewa (w jednym z zeszlórocznych numerów *Panteonu Polskiego*, redagowanego przez podpułkownika Zygmunta Zawiszankę) panna Z. Zawiszanka:

*Dość raz widzieć tę głowę, w oczy spojrzeć wreszcie...
A poświadczy Historja i za lat choć trzysta,
Że jest w każdej decyzji, w każdym Jego geście,
Wielki artysta.*

Kiedym w Amsterdamie i Hadze szkicował z mównicy publicznej portret Marszałka jako pisarza, niektóre z pism holenderskich, omawiając ten przedmiot, nadawały mu, już na własną rękę tytuł: „Piłsudski jako artysta“.

Psycholog bowiem i animista jest zawsze bliźniakiem artysty.

ROZDZIAŁ V.

IDEOLOGIA

Może to jest w naturze rzeczy, że najśmielszych, najzaciętszych sykofantów czyniły Józefowi Piłsudskiemu najszczytniejsze jego hasła: Honor i Prawda. W tych dwóch słowach zawiera się cała ideologia jego jako żołnierza, jeszcze więcej, jako twórcy legjonów, jeszcze więcej, jako Naczelnika Państwa, a później jego kierownika.

Nad całą produkcją literacką i nad całą burzliwą, do nadmiaru szczerą elokwencją Piłsudskiego powiewał jakoby sztandar ze słowami księcia Józefa Poniatowskiego: „Bóg mi powierzył honor Polaków“. Lecz Piłsudski, trzeba to przyznać otwarcie, w honor swoich rodaków cywilnych nie bardzo wierzy i pewnie dlatego laską Mojżeszową wykrzesać go chce i postawienia go na wyżynie — żąda. Tymczasem zaś honoru, jako cementu narodu całego, nie dostrzega. Byłby skłonny powiedzieć, jak wódz powstania Zygmunt Podlewski mówił o stronnictwie Białych: „Posyłano ich na stracenie, tam panują Biali, tam Polaków niema“.

Natomiast wyrobić honor w wojsku — to jest w mocy jego twórcy i nad tem pracują wszystkie jego rozkazy i pracują widać skutecznie, skoro w książce „O wartości żołnierza Legjonów“, autor już się szczycić może wspaniałymi owocami tego zasiewu. Oto próbkę takiego honoru z czasów dawniejszych, z roku 1863, widzieliśmy w owej hardej inscenizacji śmierci powstańca-skazańca. Historyk, kapitan Stefan Pomarański, w swej broszurze o Marszałku, nazywa go wprost „strażnikiem polskiego honoru“. Rodowód tego honoru sięga wielkich napoleońskich czasów, kiedy żołnierzowi droga była nietylko cześć jego własna, ale i jego cesarza, jego wodza, jak w „Dwóch grenadjerach“ Heinego, pieśni przecież nie przez Francuza napisanej — objaśnia Piłsudski przed przypomnieniem treści tego nie-

chcącego się pospolitować i spowszednieć wiecznie żywego poematu („O wartości żołnierza Legjonów“).

Najsilniej może wygłasza się ten honor w rozprawie „Demokracja a wojsko“. Tam on jest zastępcą i surogatem symbolów, które wywodzono z nieba: „Honor to Bóg wojska, który niesie nakaz; ma taką siłę uderzenia, że śmierć wywołuje“.

„Strzeżcie się, panowie demokraci, go naruszać! Ostatni cement pęka, ostatnia więź pęka! Honor jest potęgą. I wszystkie związane z nim zwyczaje — śmieszności nawet, są upiększeniem życia helotów demokracji, dzieci nakazu, żołnierzy i ich wodzów.

„Prawo i honor — honor i prawo“.

Piłsudski, w pięknej tej, bogatej w metafory ale i w abstrakcje mowie, zwalcza złudzenie demokracji, że jej dogmaty aż po wybieralność włącznie, wprowadzić można do ustroju wojska tak, żeby kompanie wybierały dowódcę kompanji, dowódcy kompanji — dowódcę bataljonu i t. d. Czyni to z respektem dla wielkich hasel rewolucji francuskiej, która równość chciała przenieść mechanicznie do armji, i przypomina, jak ona sama rychło dojrzała ich niedorzeczność. Sam też, nie narzucając swojego rozwiązania dylematu: demokracja i wojsko, wolność a nakaz, składa ten problem „jak brylant“, w ręce tych, do których przemawia. Nie może rozwiązać go pewnie przez wysoki takt, ponieważ sam przeszedł życie z bojownikami demokracji. I „wahając się między miłością dla siły a miłością dla swobody — prócz prawa i honoru nic nie znajduje“.

Druga idea przewodnia — p r a w d a — posiada u Piłsudskiego jeszcze więcej zabarwienia swoistego. Snuje się ona jak nić złota przez wszystkie wątki jego przemówień i rozpraw. Jest jakaś tajemnicza, święta i nietykalna. Błyska, jak proporzec z wyprawy krzyżowej. A przecież nie jest chorągwią wojenną, lecz tym współdźwiękiem, wtórem pokojowym, lirycznym, który stale towarzyszy pobudkom bojowym Piłsudskiego. Prawda ta to rodzaj imperatywu kategorycznego Kanta, zgoda z sumieniem, rozmistyczniona trochę po słowiańsku, tak że niekiedy

brzmi jak echo wielkich myślących belletrystów chrześcijańskiego etosu — Dostojewskiego i Tolstoja.

Czasami znowuż prawda ta oznacza najwyższe wcielenie rzeczywistości, jak np. prawda życia, prawda siły, prawda nadziei, któremi mieni się niezwykle oryginalne i przepiękne przemówienie Piłsudskiego na Wawelu wobec trumny Juliusza Słowackiego.

Tym kanonem prawdy w jej najczystszej znaczeniu jako wyższego moralnego nakazu, Piłsudski, jak widać z jego pism, rządził się nawet wtedy, kiedy przez inne instynkty mogło być dyktowane udawanie, dwulicowość lub nawet podstęp. Godne są przeniesienia na grunt klasyczny Grecji i Rzymu słowa, które wyrzekł na pierwszym zjeździe legionistów, spowiadając się z swej taktyki wobec Austrii i jej przedstawicieli wojskowych (r. 1922. Pamiętnik zjazdu w Krakowie):

„Mogę Panom śmiało i z zupełnym spokojem powtórzyć te dumne warunki, które postawiłem przed 6 sierpnia: żądam od was tylko broni, nie możecie zemną wejść w układy polityczne, możecie lub nie możecie polegać na mej odpowiedzialności, że was nie zdradzę, to jest rzecz wasza! Dajcie mi broń, pieniędzy od was nie chcę, będę żył z kraju, ze swej Ojczyzny, żadnych politycznych warunków nie przyjmuję, bo i wy zemną w układy nie wchodzicie.

„Jestem przed wami zobowiązany złożyć rachunek wodza — mówi na zjeździe. — Nie szedłem na żadne, w jakimkolwiek stopniu upokarzające warunki, dlatego, że chciałem być silnym moralnie. Dlatego też swemu pomocnikowi, generałowi Sosnkowskiemu, wtedy gdy rzucił mi pytanie, co nas czeka, odpowiedziałem: „albo śmierć, albo wielka sława“, będąc bardziej przekonany o śmierci niż o sławie“

Jakże do czarującej rzetelności w samokrytyce dzieła o wojnie roku 1920 wspaniale pasują przypominane przez p. Hulkę Laskowskiego słowa Liwiusza, który nie ukrywa, mówiąc o strasznej klęsce nad jeziorem Trazymeńskim, że to jedna z wielu porażek wojska rzymskiego.

Tak samo pojmuje prawdę Piłsudski. Wie, że zwyciężył, ale wie, jak strasznie przedtem był zwyciężony. Gdy spotyka prawdę u innych, hołd jej składa. Nie żałuje ciemnych farb, żeby odmalować „margrafa” Wielopolskiego i odmawia mu tytułu prawdziwej wielkości, ale w nim uwiecznia to, że miał czoło otwarte, odwagę cywilną, że miał żelazną wolę i stalowy charakter. A kto wie, może i za to na piedestale go stawia, że do społeczeństwa, którego bronił i któremu przynosił spolszczenie urzędów — odnosił się jak do kogoś, co charakteru nie ma. Ono mu płaciło pięknem za nadobne i może więcej od najeźdźców Moskali nienawidziło. I za to też ceni Wielopolskiego, że nie chciał powstać przy zbliżaniu się „majestatu moskiewskiego”, odpowiadając, że tylko przed królem swoim wstanie.

W ten sposób Piłsudski „wgryza się sercem w prawdę” w tym „Roku 1863”, w którym „prawdę dać chce nie swojemi słowy lecz mową grobów, uczestników i bohaterów Powstania i rozproszyć legendę różanego olejku, którym nieraz rodzimy brud usiłowała przytłumić”.

Wielkie jest bogactwo, nawet istotne piękno tych myśli rewidujących, prostujących i przeto przywracających prawdę i miałyby się ochotę cały ten historyczny rachunek przytoczyć.

Użyłem wyrazu: spowiedź. Albowiem Piłsudski lubi swe wynurzenia literackie i oratorskie podawać surowo aż do bezpośredniości spowiedzi. I samą spowiedzią nazywa treść swojego przemówienia na pierwszym zjeździe legjonistów — spowiedzią wodza, obrachunkiem sumienia, zdjęciem z siebie ciężaru odpowiedzialności. Spowiada się ze wszystkich swoich posunięć politycznych przy tworzeniu legjonów. Najważniejszym punktem tej litanji „grzechów”, do których się przyznaje, jest układ z władzami wcjśkowemi austrijackimi. Tam objaśnia wyczerpująco, że Austrija była najłatwiejszą do gadania „choćby nawet metodą t. zw. austriackiego gadania”. (Przedewszystkiem: „dawano tutaj możność wyzyskania elementu polskiego dla tworzenia siły zbrojnej”).

Taką samą ciągłą spowiedzią są Wykłady Wileńskie. Piłsudski z szczerością i rozlewnością słowa, która znowuż

przypomina niemal ideologów mesjanicznych, rozwija szeroką tkaninę uczuć i motywów.

Z punktu widzenia literackiego, ekspansja wynurzeń wydać się musi szczerością podniesioną do heroizmu, wobec którego układność normalna staje się podobną do faryzeizmu. Z punktu zaś widzenia sztuki władania duszami, która w inny sposób ale bardzo blisko interesuje literata, mogłaby być uważana za błąd taktyczny. Piłsudski spoufaliał ludzi przez to wpuszczanie ich tłumne do wnętrza swojego serca i swojej psychicznej kuźnicy. Zbyt szeroko otwiera wierzeje do spichlerzów swojego ducha. Zbyt nawalny gorący skarb ideologii łatwo rozkraść, spospolitować a nawet zbezczeszczyć. Warszawa, wiecznie zblazowana, choć jeszcze nie otrząsnęła się z ignorancji politycznej, w jaką ją wtrącił nagły świt wolności a więc i nagle objawiona zbędność dawnej szlachetnej ideologii, bohaterstwa stanu uciemzonego i intelektualizmu wyhodowanego przez niewolę, uczuła się zbyt prędko ami - cochon z Marszałkiem. Wprawdzie sprzeciwiałoby się silnemu jego demokratyzmowi bojowca socjalisty i żołnierza - kompana — kasprowiczowskie „Byłeś mi kiedyś bożyszczem, o tłumie“, ale nadmierna otwartość spowiedzi padła na grunt zbyt surowy a przytem nadto lubiący maskarady i dekoracje, aby mogła być w swej ewangelicznej prostocie i świętości zrozumiała, a w swej prawdzie oceniona.

Kanon prawdy pochwycony został przez złe, niezawsze czyste ręce, — zbrukano go i zbagatelizowano. Gdzie, jak gdzie, ale właśnie w Warszawie obowiązuje stale horacjuszowe „profanum vulgus“. Może ma rację Kaden - Bandrowski, nazywając Polaków — Rzymianami północy, jeśli pamięta o Horacym...

Zresztą nietylko Warszawa — obcy również. Europejska szkoła dyplomacji, kto wie czy nie czuje, że Piłsudski wobec niej zachowuje nieprzejeźdny krytycyzm Polaka-Litwina, odziedziczony po książęcych przodkach, wzięty z ukoronowanej zaciętości Chrobrych, ze sprawiedliwości Kazimierza Wielkiego i wspaniałości Jagiellonów, z hetmaństwa Żółkiewskich i Chodkiewiczów. Od nich wziął swój drwiący sobie z materjalizmu i małości świata honor, że mu

z obcych nie imponuje nikt, prócz genjuszu Napoleona. Jeśli mawiał o pułkowniku Belinie, że ma naturę szlagońską („Moje pierwsze boje”) to i sam jest szlachcicem, kniazem - karmazynowym, rycerzem sans peur ni reproche, w najgórzejszym, najbardziej egzaltowanym znaczeniu tego słowa, z nabrzmiałem aż do bolesności poczuciem odpowiedzialności, z przerosłem aż do szczytnego maniactwa „ne quid detrimenti respublica capiat” i z tą dumną samowiedzą moralnej wyższości, etycznej zwierzchniczości i patryjotyzmu bez granic poświęcenia — występuje przed społeczeństwem: „Elekt musi posiadać honor ponad chęć zarobienia kilkudziesięciu groszy”.

Z taką ideologią i takim spowiednem jej wyznawaniem nawet na wielkim świecie może liczyć na ukrytych, intuicyjnych, głębokich wielbicieli, lecz nie na hold szerokich mas.

Spowiedność będzie zawsze przez pospólstwo, rozumie się owo najgorsze t. zn. przez inteligentne, to jest to, które wyżyło się już serca i instynktu a jeszcze nie zyskało jasnowidztwa rozumu — przekuwana na oręż, umoczony w najjadowitszej truciźnie i zwrócony przeciw temu, co się spowiada. Może on wypowiadać wojnę najkrwawszą, ale gdy się spowiada, że „wydał wojnę szujom, lajdakom, mordercom i złodziejom” — ma przeciw sobie swoich i obcych.

Piłsudski podniósł pewne przysłowie do znaczenia mitu; przysłowie o nożycach, odzywających się na stole — w losach jego nabrało międzynarodowej rozpiętości, epokowej pojemności i historycznej wymowy.

A jeszcze pogarsza sprawę tej ideologii prawdy i honoru fakt, że Józef Piłsudski w sposób również głęboki, liryczny, i egotyczny wypowiada swoją miłość: miłość dla dzieci — miłość dla Polski, miłość dla Wilna, miłość „Dziadka” dla swoich chłopaków-legjonistów. Każde wyznanie takiej miłości, po pierwsze, rozzuchwala, po drugie, zostaje niezrozumiałem. Ludzie nie są w stanie pogodzić takiej miłości z taką pogardą i szpicrutą w rękę. Zapominają, że miłość i wzgarda to od wieków siostry — w stosunku reformatora do społeczeństwa i nawzajem.

Znamiennym dowodem takiego niezrozumienia Miłości przez świat, był efekt słynnej mowy wileńskiej. Piłsudski

przyciskał tam swoje miasto rodzinne do piersi, jak drogiego ulubieńca, i fantazjował na temat wyrazu miły. Chociaż w tonie wybitnie lirycznym bardzo zbliżał się do znanego nam peanu na piękno Niemna, gdy mówił, że żołnierze uczynili mu z Wilna ukochany prezent, ogół, bliski i daleki, zakordonowy, wołał rozumieć, że jest to zapowiedź wojny z Litwą. Stało się jak w bajce La Fontaine'a „Les femmes et le secret“, lecz w jej transkrypcji polskiej, dokonanej beziemiennie. Paweł, szewc, żeby ukrócić długi język żony, wyznał jej pod największym sekretem, że zniósł jajo. Niebawem jajo poszło między kumy i wprędce tak się rozmnożyło, że:

*Z targowiska do domu wracające chłopcy
Zrobiły z tego trzy kopy,
A jedna stara panna, już jedna z ostatnich,
Przysięgła, że chłop zniósł trzysta kul armatnich,
Z czego wniosła niespokojna,
Że w tym roku będzie wojna.*

Jajo miłości, zniesione przez Piłsudskiego w Wilnie — uległo takim samym metamorfozom.

Taka ideologia honoru i prawdy mogła się wziąć tylko ze struktury rasowo-psychicznej o odwiecznych, zadawnionych predyspozycjach. Ale napewno nie jest wynikiem przygodnych wydarzeń, jak na przykład przyjaznego obcowania z przedwcześnie zmarłym filozofem Edwardem Abramowskim, jak chcą niektórzy. Głęboki ten i z etycznej plazmy sformowany myśliciel, echo romantyzmu i mesjanizmu, wierzył, że socjalizm przyjmie się kiedyś, ale tylko na gruncie moralnie przekształconej natury ludzkiej. (Pogląd to wysoce niesocjologiczny; w nim odwrócony jest porządek zjawisk — gdyż nie co innego, jak właśnie struktura socjalna zazwyczaj dopiero zmusza do zmiany pojęć etycznych. Ona ma primat czynnika kształtującego). Piłsudskiego „prawda“ to nie apostołstwo, lecz postulat uczciwości, to opozycja przeciw kłamstwu i fałszowi zarówno społeczeństwa, jak historii. Idzie mu przede wszystkim o prawdę dziejów i wymiaru sprawiedliwości ludziom wielkim. Kiedy zaprasza do współpracownictwa we „Wspomnieniach Legionowych“ — to

zachęca i przeciwników swoich, byleby przyczynili się do wyświetlenia prawdy historycznej wypadków.

Piłsudski zjawia się na widowni, od dawna wymodelowany w sobie, gotowa organizacja, skończona „mentalność”, wpływom nierealnym i przygodnym niepodległa. Widzę tylko dwóch wielkich mistrzów, którym zawdzięcza wiele: Napoleona i rok 1863. Z wielkiej historii wojen i rewolucji czerpał umocnienie i potwierdzenie swych skłonności wrodzonych. Szukał mocy, znalazł ją i zastosował. Jego idealizm i maksymalizm dążeń narodowych zbratał się organicznie z realizmem środków i techniki ich realizacji. Jako ideolog — wielbi prawdę, jako strateg, działacz i człowiek czynu — myśli pozytywnie. Na czele tych środków stawia moc nakazu, choćby ona miała zniweczyć swobodę i równość demokratyczną. Sam jest „dzieckiem swobody” i mówi do innych takich jak on:

— Czy demokracja „ma tylko kamizelki i krawaty rozchełstane — i nieokielznaną swobodę szargania wszelkiej powagi? Radzę się namyśleć — dzieci swobody.

Cofa się do zarania historii i wszędzie widzi to samo: „Dzieje wojska to dzieje nakazu”. Rozkaz i posłuch, nakaz i mus — to sfera, w której obraca się wojsko.

Ale nietylko wojsko. możnaby podsunąć tutaj słowo: państwo. Bowiem swój rozum państwowy wypowiedział Piłsudski już wtedy, gdy ów problemat: „Demokracja i Wojsko” rzekomo obiektywnie demonstrował i uczynił to w łączności z tym oto ogólnopaństwowym problemem: „Nakaz, moc, mus, posłuszeństwo były i za królów, cesarzy i imperatorów. Obowiązywały one nietylko rycerzy ale i tych, co zostawali w domu. Stare, zamierzchłe narody swą dziejową pracę przeszły w takiej właśnie a nie innej formie — i dawała ona nie sprzeczność życia, ale jego jednolitość”.

To mówi już nie twórca wojska, lecz i Naczelnik Państwa.

Piłsudski pochodzi z epoki socjologii — więc myśli socjologicznie, jak myślał Herbert Spencer lub Ludwik Gumplowicz w swojej „Walce ras” i „Socjologii”. Rozumuje kategoriami nauki, co się opiera na przyrodniczej, biologicznej stałości i powtarzalności zjawisk życia gromadnego.

Dla tej nauki, gdy raz w Rzymie rzucił pochodnię proletariackiego buntu Spartakus — to napewno rzuci go nowy Spartakus w dobie zachwiania się potęgi niemieckiej.

Piłsudski, nie czyniąc z tego doktryny, albowiem jest wrogiem doktryn, na to ma zbyt gorące poczucie życia — mówi jednak często o wojnie, jako konieczności dziejowej, stałej i wieczystej. Wie on, że „pochód ludzkości wojnami jest znaczony, najwyraźniejszą barwą, którą litery historii są pisane, jest barwa krwi“.

W zastosowaniu do problemów aktualnych wojny radził oglądać się zawsze na rzeczywistość na *réalité des choses* — hasło napoleońskie (generał Stachiewicz zwrócił moją uwagę, że Piłsudski po swojemu zmienił dewizę trzeźwą Bonapartego, ale to rzeczy nie zmienia: la *réalité des choses* stała się i jest dewizą Piłsudskiego. A gdy tworzył legjony, to dokładnie obliczał i rozważał, z kim wejść w układ, co może danemu zaborcy dać, żeby od niego coś mieć, albowiem wiedział, że „polityka każda i praca każda jest oparta na prostej brutalnej zasadzie: *do ut des*“.

A przedtem jeszcze, gdy był dopiero rewolucjonistą-spi-skowcem i współtwórcą polskiego socjalizmu i kiedy, zdawałoby się, poczynił dopiero w sobie wielki plan stworzenia wojny o niepodległość lub wejścia w zdawna przeczuwaną burzę europejską dla wyszarpięcia wolnej Polski z gry międzynarodowych interesów, już pisma jego świadczą o niesłychanej jasności poglądów i realizmie przysposobień. Jako Z. Mieczysławski przemycą między czatownikami krakowskiej cenzury swoją broszurę: *Geografia militarna Królestwa Polskiego*, w której daje mapę dokładną dyzlokacji rosyjskiej siły zbrojnej, wszystkich środków obronnych i całego materiału wojennego w Kongresówce i obraz wszystkich racji i celów, którymi się Rosja w tym rozmieszczeniu kierowała. Jest to niby dokładny rozumowany plan militarnego terenu, na którym wypadnie może stoczyć bój z zaborcą.

Drugą taką broszurą, wydaną również w r. 1910 pod tym samym pseudonimem, są „Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim“ — skończone *va-de mecum* walki z caratem, istny katechizm rewolucji, rze-

czowa nauka, jak stwarzać rząd rewolucyjny i działać nim na masy, jak urządzać manifestacje, gromadzić broń, demolować urządzenia, zdobywać środki materialne, opanowywać teren i t. d. Można tę pracę, obiektywną, spokojną, wprost pedagogiczną i chłodną jak kurs wykształcenia, zatytułować: „Praktyczna socjologia rewolucji” — tyle w nim rutyny, doświadczenia, fachowości w przygotowywaniu materialnej i militarnej siły, — i bystrości przenikliwej we wskazówkach, jak się uspasabia umysły, jak się organizuje i nastawia dusze i wychowuje psychę zbiorową dla celów powodzenia rewolucji.

Jedną z ognistych os tego realizmu jest uśmiechnięte prawie ironją zapewnienie, że o broń nie trzeba się nadmierne troszczyć: „zakupienie broni nie będzie nastroczało zbyt poważnych trudności, tak samo jak jej dostarczenie. Ciekawem jest, że właśnie tam, gdzie istnieją największe przeszkody t. j. w Prusach, tam przeszło najwięcej broni przez granicę”. A nieopodal czytamy: „Burowie walczący z Anglią otrzymywali broń przez kupców angielskich”.

Wszystko, co Piłsudski myśli i mówi na temat „europejski”, „międzynarodowy”, co pisze o łatwowierności rodaków swoich wobec obietnic rządów zaborecznych w czasie wojny, o wrażliwości na lep bombastycznych odezw wodzów, w rodzaju słynnego manifestu wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, przepełnione jest sceptycyzmem historyka-socjologa, wytrawnością działacza, który ciągle mówi, że gra w bridża, choć kart zgoła nie zna, że licytuje wysoko, ale zarazem ma pewność, iż partnerzy jego grają kartami znaczonemi. Te nauki i poglądy są takie niesentymentalne, tak pełne chłodnego rozumu i praktyczności, że mamy wrażenie radosne, jakoby po raz pierwszy od czasów niepamiętnych fantastyka i dyletantyzm tak zostały zdyskredytowane, że to dla każdego polaka myślącego stało się zjawiskiem równie psychicznie potężnem, jak nowem.

Nie rozwiodłem się jeszcze nad trzecim — po honorze i prawdzie — najważniejszym członem ideologii Piłsudskiego, nad Prawem, choć było o niem wspomniane.

Piłsudski chciał w początkach wyzwolonego Państwa wziąć za jeden z cokolowych jego zrębów — prawo

i co zatem idzie, lojalnie przestrzegać dogmatu współpracy z przedstawicielami narodu. Obejmując całkowitą władzę w dn. 14 listopada r. 1918, powiedział w swoim dekreście, że lud polski musi sam wykazać swoją zdolność organizacyjną, „postanowił przeto rozważyć rolę i znaczenie przywódców polskich stronnictw ludowych, które miały nadać charakter nowemu rządowi”.

Wyraził też przekonanie, że twórcą praw narodu może być tylko Sejm.

Otwierając ten Sejm 10 lutego 1919 r., wyrzekł pamiętne słowa:

„Obdarzeni dziś zaufaniem narodu, dać mu macie podstawy dla jego niepodległego życia w postaci prawa konstytucyjnego Rzeczypospolitej Polski. Na tej podstawie utworzyć rząd, oparty o prawa, przez wybrańców narodu ustanowiony. Prawa przez was uchwalone, będą początkiem nowego życia wolnej i zjednoczonej Ojczyzny”.

W dziesięć dni potem Piłsudski, oddając do dyspozycji Sejmowi swą godność Naczelnika Państwa — (przypomina poseł Antoni Anusz w swym wartościowym skrócie o stosunku Piłsudskiego do parlamentu („Strzelec” 1929) — powiedział:

„Wśród olbrzymiej zawieruchy, w której miliony ludzi rozstrzyga jedynie gwałtem i przemocą, dążyłem, by właśnie w naszej Ojczyźnie konieczne i nieuniknione tarcia społeczne były rozstrzygane jedynie w sposób demokratyczny: za pomocą praw, stanowionych przez wybrańców Narodu”.

I podkreśla dobitnie, że w Polsce XX wieku źródłem praw może być jedynie Sejm, wybrany na podstawach demokratycznych.

Ale snąć tylko do samego Piłsudskiego odnosić było można pełną wiary uwagę, że dawne grzechy zatoneły w nierozważnej przeszłości, zamarły bezpowrotnie, nie zaś do tych wybrańców, którym *vita nuova* odrodzonego państwa dała w ręce możność umocnienia olbrzymiej budowy. Wrychle bowiem okazało się, że oni niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli. Świadcstwo tej smutnej prawdy daje przemówienie Piłsudskiego, w którym dostrzega się łatwo ciekawą ewolucję tonu, jako odpowiedzi na coraz donośniejszy grzmot staczania się delegatów Narodu po pochy-

łości burzycielstwa i prywaty. Pierwsze z tych przemówień, z dn. 11 listopada 1922, wygłoszone przy otwarciu drugiego sejmu, już okazuje pewne zatrwożenie się i zachwianie wiary „w wybitne zdolności do współpracy”, kończy się wszakże spokojnym apelem „ażebyście przykładem swoim stwierdzili, że w naszej Ojczyźnie istnieje możliwość lojalnej współpracy ludzi, stronnictw i instytucji państwowych”.

Nadzieja okazała się złudna. Dogmat prawa nie dał się utrzymać. Musiał ustąpić przed koniecznością aktu rewolucyjnego, który znalazł swoje umotywowanie w słynnej mowie Piłsudskiego, wygłoszonej po przewrocie majowym:

„Gdy wróciłem z Magdeburga i posiadłem władzę, jakiej nikt w Polsce nie piastował, wierząc w odrodzenie narodu, nie chciałem rządzić batem i oddałem władzę w ręce zwołanego przez siebie Sejmu Ustawodawczego, którego wszak nie mogłem nie zwoływać. Naród się jednak nie odrodził... rozwieliło się w Polsce znikczemnienie ludzi, swobody demokratyczne zostały nadużyte, tak, że można było znienawidzić całą demokrację, co odczułem najboleśniej, jako zdecydowany demokratą. Interes partyjny przeważał ponad wszystko”.

Ma się chwilami wrażenie, że te mowy sejmowe porbrzmiewają jakoby echem wielkich *Kazań Sejmowych Skargi*, tyle w nich uroczystego i namaszczonego tonu.

Parlament, według łagodniejszego określenia tegoż polityka i wytrawnego publicysty, posła Antoniego Anusza, nie wniósł do tej współpracy tyle patriotyzmu, tyle zrozumienia dla wyjątkowego położenia powstającego państwa, ile wymagało jego bezpieczeństwo i rozwój.

Przyszły w następstwie i inne heroiczne leki państwowe na zadawniony nałóg partyjnego samolubstwa. Piłsudski zaczął w swych mowach i artykułach bić „smyczą po twarzy” jak się wyraził poseł socjalistyczny Mieczysław Niedziałkowski. Zaczęto bowiem kielznać tę część prasy, która kieruje wojną podjazdową przeciwko rządowi, a jak chcą krytycy ostrzejsi, przeciw państwowości wogóle.

Podobnie jak literat — a takim jest piszący te słowa — nigdy nie może być chwałą nadużywania rubaszości

i drastyczności w stylu, tak też nie może być apologetą krępowania wolności słowa. Ale wiele hasel w tem życiu, które powstało na popieliskach i zgłiszczach, musi iść pomiędzy rupiecie. Po takiej iście Cuvierowskiej rewolucji globalowej, gdy trzeba wszędzie szukać pionu, ażeby rzeczy nie padały, traktowanie prasy jako rozkosznego pieszczocha, według zwyczaju mamek i nianiek liberalizmu z początków stulecia, czy nie jest pewnym automatyzmem? I czy nie jest on ślepotą na fakt, że stworzyliśmy nowe, udoskonalone, wyrafinowane preparaty jadu i stu-procentowej nienawiści, świeże formy anarchji i szantażu, perfidji i potwarzy, którym w naszym państwie pewna część prasy oddaje się na usługi, zachowując pozory, że swoje laboratorium gazów trujących prowadzi na własną rękę?

Powiedział niedawno człowiek doświadczony i wogóle nie byle jaki, Primo de Rivera, słynny z wysokiej kultury i ogłady towarzyskiej, dyktator Hiszpanji:

„Jestem przeświadczony, że dobra gazeta przynosi więcej korzyści niż pół tuzina szkół, lecz, że zła — może wyrządzić większą szkodę od cyklonu“.

Tak zmienionej, pod parciem imperatywu, ideologii Piłsudskiego zaczęto zadawać pytania, czy jest ona wogóle demokratyczną i przede wszystkim czy jest socjalistyczną. Poseł Niedziałkowski wyraża przypuszczenie (*Robotnik* z d. 12.5 r. 1929), że „rozstanie Piłsudskiego z socjalizmem, jako z metodą myślenia, jako z ideologją, jako z wiarą życia, — nastąpiło zapewne jeszcze przed wybuchem wojny światowej“.

Nie ulega wątpliwości, że zasadnicza nieufność w stosunku do wszelkich doktryn, nieufność czytelną między wierszami wielu pism Piłsudskiego — zaczęła się bardzo dawno. Przeto myślę, że nawet taki socjalizm jak polski, wielką masą zasług narodowych sławny i wielką liczbą znakomitych bojowników historyczny, nawet taki socjalizm, kolebka i szkoła wczesnych prac Herkulesowych Piłsudskiego, nie odpowiada i może nie odpowiadała dawniej jego szerokiej koncepcji państwa. Był on wcześniej nieodrodnym synem i wychowawcą ostatniego powstania, niż so-

cialistą, i raczej w imię testamentu tego powstania został socjalistą, to znaczy właściwie: rewolucjonistą. Dziś zaś kiedy hydrze sobkowstwa znów lby odrastają, kiedy element defetystyczny, zakochany w sobie, śpiewa dytyramby prusactwu polskiemu, Piłsudski nie cofa się przed żadną taktyką państwową, żeby ten moment nieszczęsny w nowych dziejach polskich pozostał tylko momentem.

„Gdy palec Boży dotknął naszej ziemi — mówi Piłsudski w „Roku 1863” i wulkany trysnęły, żeby z nas Herkulanum i Pompeję na wieki zrobić, gorącym popiołem wulkanu jak w mogile zasypać — tam znajdujemy tę samą nienawiść, tam znajdujemy tę samą walkę, tam toczyła się wojna domowa”.

Doprawdy, problemat fizjonomji autorskiej i ideologicznej Józefa Piłsudskiego jest przedewszystkiem tematem dla literata — jest bowiem mitem o drugim, nowoczesnym Iksjonie.

Jest jeszcze jedno hasło ideowe — dewiza sama w sobie wielka: *praca*. Godło to w społeczeństwie, które w swych warstwach burżuazyjnych uszanować pracy a tem mniej intensywniej jej uprawiać nie umiało i nie umie, gdy nareszcie na sztandarach życia wypisane zostało większymi niż dotąd zgłoskami, stało się niepotrzebnie czemś w rodzaju wielkiej manifestacji, filozoficznej fanfaronady, uroczystego pochodu, niemal procesji, zamiast być elementarną przyrodzoną kategorią umysłu, immanentnym głodem ciała i duszy i prapotrzebą człowieka. Godłu temu Piłsudski umiał przywrócić jego niezbanalizowane znaczenie podstawowego warunku normalnego życia narodu, gdy i sam sobie wyznaczył pensum pracy, przerażające siły ludzkie i nadludzkie, aż do zlekceważenia przykazań ekonomji organizmu. Słynne jest jego powiedzenie o wyścigu pracy, który musi zastąpić wyścig żelaza i krwi. Jakże charakterystyczną jest opinja, którą wydał, w zdaniu krótkim, zdaniu wielkiego znawcy rzeczy, o projekcie akademji, wypracowanym przez związki litrackie. Krytycznym i lodowatym znalazła go myśl ta, choć przecie była myślą Żeromskiego. Kto wie zresztą, czy i przytem nazwisku nie powtórzyłby swojego sceptycznego pyta-

nie: „Gdzież twoje miano, wielkości“. Przyjął projekt jako koncepcję dekoracyjną, intencja zaś literatów, żeby przyzwyczaić właściwe organa rządu do pewnej opieki nad wyższą literaturą, bardzo mało wzruszyła tego człowieka, który w swem poświęceniu się pracy bez wytchnienia i bez ukoju, nie uznaje nigdy rachunku zysków i strat. Prawdopodobnie, gdyby sam został zaliczony do Nieśmiertelnych, to odpowiedziałby, że o nieśmiertelność jego mogą się nie troszczyć, gdyż na nią sam zapracował, a co do gaży, związanej z palmami akademickimi, to z pewnością oddałby ją dzieciom żołnierskim.

Zdanie to brzmiało:

„Nie widzę tam pracy“.

Widoczne jest, że ten rodzaj zabiegów może w nim znaleźć sprawiedliwego poplecznika i protektora, ale nie znajdzie nigdy szczerego przyjaciela.

ROZDZIAŁ VI.

SWOISTE NAŚWIETLANIE HISTORJI.

Widzieliśmy ciekawą i wprost fantastyczną grę krańcowych sprzeczności w jednym umyśle i słyszeliśmy dziwny dwugłos: najwyższego etycznego i patryjotycznego idealizmu, rodem z podniosłych dni romantyki polskiej — zharmonizowanego z realizmem. Realizm ten, przechodzący stopniowo nawet w bezwzględność i dyktatorskie patrzyenie na rzeczy, rósł, w zależności od tego, jak rozrastało się stałe, chroniczne bodaj zjawisko, które możnaby nazwać elementem czarnowidzkim (a może targowickim?) czyli tym, który utajony umiał nurtować naród nawet przed katastrofą rozbiorów i przygotowywał bezwiednie a zawczasu do niej grunt.

Cóż naturalniejszego nad to, że Piłsudski, który stałe, zdawało by się, monomanjacko powraca w swych pismach do tej choroby, aczkolwiek chrzci ją zazwyczaj różnemi innemi nazwami, musiał wpaść prędzej czy później, na pewną koncepcję czy może tylko formułę i tezę historjofobiczną, któraby winę owego fatalnego elementu sprowadzała do pewnych zasadniczych, podstawowych wad, czy też jednostronności społeczeństwa. Te wady uznał za źródła wszystkich nieszczęść i napiętnował je w rozprawie, również powstałej z odczytu, p. t. *Źródła klęsk Rzeczypospolitej*.

Z całą prostotą człowieka, który przemawia do żołnierzy i porusza kwestję na pozór tylko wojskową, który historję swej Ojczyzny przeżył i zwartościował probie-rzem żądzy olbrzymiego czynu i pasją pchnięcia tej historji na inne nowe tory, na drogę, któraby nie była dalszym ciągiem dawnej, — bez ściśle naukowego aparatu, z intuicją niemal jasnowidzącą, buduje pogląd szeroki, który historjofobicznie dotyka zła u samego jego korzenia.

Nigdzie nie znajdują takiej pełni i szerokości myśli i takiej niezależności od poglądów, mających powszechny

kredyt, jak w tej pracy, i ją postawiłbym na szczycie wszystkich programowych wypowiedzi się Piłsudskiego.

Jeśli już w swoim „Roku 1863” mówił o sobie, że burzy legendy, jak np. legendę, mylnie i błędnie przedstawiającą znaczenie powstania styczniowego, to tu burzy inną większą jeszcze, całe bowiem stulecie historii obejmującą legendę; Piłsudski przekreśla ją mnóstwem przypomnień i wywodów, których cierpką esencją są słowa:

„Wszelkie próby historyków przekonania, że Polak a rycerz jest to jedno i to samo, wydają mi się absolutnie niemożliwymi do udowodnienia, gdy się bierze realnie historję”.

Ducha dawnej Polski Piłsudski pojmuję, jako *par excellence* nie w płaszczyźnie rycerskości się obracającego, i bawi się faktem, że jedyny król, którego potomność nazwała wielkim, to Kazimierz Wielki, „król znany z absolutnie niewojennego charakteru panowania, król znany z tego, że Polskę jakoby wziął po ojcu Łokietku „drewnianą” a zostawił „murowaną”. Jedyny więc przydomek wielkości zastosowany został do króla i wodza, który wodzem nie był”.

Za swoich umiłowanych przeto, za „faworytów” swego dzieciństwa uważa „Bolesławów, jako tych, którzy najwięcej się bili: Chrobrego i Śmiałego”.

Stosunek wojska do otoczenia i otoczenia do wojska był w Polsce historycznej taki, że gdy cały świat już sprawę tę rozwiązał zgodnie z dobrem państwa, w Polsce ciągle jeszcze wojsko było dalszym ciągiem owych dawnych, średniowiecznych drużyn królewskich albo książęcych. Wojskiem nie interesowano się specjalnie. Było to obowiązkiem króla; żądano od niego, ażeby przychodził do Polski z pewnym wianem pieniężnym, a czyniono tak, ażeby oswobodzić się od opłat na wojsko. Nie było chętnych do płacenia podatków na wojsko. „A przecież naród rycerski, dbać musi o przejawy tego rycerstwa w sposób rycerzom należny, albowiem według określenia jednego z moich współrodaków z pod

Lidy: „nawet papieskie wojska i te jeść muszą, choć prawie są aniołami”¹.

Wart jest przytoczenia cały jeden dłuższy fragment tych rozważań, jako najserdeczniejszy rdzeń wywodów:

„Gdy myślę o tej epoce, w której Polska wyraźnie skłania się ku upadkowi, gdy ginęła, codziennie obniżając swoją powagę na świecie i codziennie niszcząc siebie samą — znajduję zawsze jedno i to samo zjawisko: naokoło wojsko wzrastało, naokoło państwa budowały wojsko jako siłę zbrojną, naokoło praca szła silnie i pewnie, podczas gdy w Polsce siła państwa reprezentowana przez wojsko stale upadała. Jeżeli przebiegniemy w owych czasach pracę ówczesnego sejmu i ówczesnych królów, między którymi jedni byli wielkimi żołnierzami, jak Stefan Batory, jak Władysław IV, jak wreszcie wielki zwycięzca z pod Wiednia i Chocima — Jan Sobieski, jeden z największych wodzów naszych: to znajdziemy zawsze jeden i ten sam przejaw życia, stale powtarzany w owym okresie, jak gdyby Polska wyraźnie mówiła: my wojska nie chcemy — jest to jakiś ciężki wóz, który najlepiej jeśli sam sobie będzie dawał radę”.

Piłsudski widzi dwa późniejsze okresy tego dziwnego stosunku Polski do wszelkich zadań wojennych. W pierwszym zdaje się ona na los szczęścia, gra jakoby w loterię, zależną od wodza hetmana. Naród powierzył się jakoby protekcji Boskiej, z tą nadzieją, że Pan Bóg się zlituje i tchnie w hetmana talent i ducha rycerskiego. „Nie można zaprzeczyć, że niekiedy Pan Bóg nas bardzo protegował, gdyż dawał takich wodzów, jak Chodkiewicz, jak Żółkiewski i jak Czarniecki, że wymienię tylko największych. Nie zmienia to faktu, że w pracy wojennej zależeliśmy poprostu od szczęścia czy nieszczęść”.

Gorszy był okres drugi, kiedy się szukało protekcji ziemskiej: Katarzyny II, Fryderyka Wielkiego i Marji Teresy. Przy takich protekcjach, wedle Piłsudskiego, nawet wysoka protekcja boska pomóc by nie zdołała: „żaden bowiem genjusz i żadna siła wyższa nie potrafiła nigdy iść przeciw tak wielkiej protekcji, jak brzęcząca moneta”.

Piłsudski, jak widzimy, utożsamia ducha rycerskiego z patryjotyzmem i pracę żelazną, związaną z wojskiem — z pracą nad duszą ludzką, która hartuje się i nabiera godności i dumy w służbie wojskowej. Upadek Polski to upadek ducha patryjotycznego, to upadek siły zbrojnej, „spostponowanie” interesu wojska i usuwanie go na dalszy plan w porównaniu z innymi potrzebami. Imponuje mu złota karta Renesansu polskiego, owe dzieła kultury, owe książki, wydane jedynie w Polsce, i korzy się przed dynastją Jagiellonów, którzy dali Polsce „największą potęgę wewnętrzną i największe wpływy po za Polską”. Korzy się przed wspaniałą koncepcją podziału władzy z narodem, współpracy i współrządów z królem absolutnym. Jedynie Anglja mogła się taką samą chwałą poszczycić — gdyż i ona stworzywszy parlament mogła tak samo dbać lepiej o urządzenie życia ludzkiego. Piłsudski widzi to, co jest prawdziwie wielkie. Powiedział przecież ktoś, że on sam zrealizować chciał z odrodzoną Polską idee historyczne Chrobrego i Jagiellonów.

Ale nie ukrywa przed sobą faktu, że przyszła doba, kiedy różne wielkie dobrodziejstwa cywilne już zwiastowały zbliżający się szybkimi krokami upadek. Za dużo wagi przywiązywano do „wicin płynących do Gdańska ze smaczną okowitą i bogatym ziarnem, za które ściągano również z Gdańska bogate likwory i jedwabie dla białogłów”. Ten system lekceważenia hartu narodowego, jego siły moralnej i, co na jedno wychodzi, siły zbrojnej, doprowadził do takiego upadku duszy polskiej, „że brano spokojnie pieniądze za zdradę Polski, że zagranicą szukano protekcji”.

Dopiero z końcem istnienia wolnej Polski, już u schyłku panowania Stanisława Augusta — przychodzi opamiętanie — niestety zapóźno. Gdyby przyszło wcześniej, dałoby Polsce zbawienie.

Tak rozumiejąc drogę staczania się wielkiej przeszłości w bolesną późniejszość, Piłsudski namiętnie chwytą każdy odruch narodowy — zwiastujący odnowę. Dojrzał promienie przedświtę najsilniejsze w powstaniu 1863 roku i ono tedy jest osią wszystkich jego wycieczek z przeszłość,

podwaliną lepszej przyszłości — a w każdym razie osią całego jego politycznego systemu. Wolno tu mówić o systemie; pomimo całej nieklasyczności jego formy, pomimo mnóstwa dygresji, napuszczania każdego splotu myśli historycznej satyrą i ironją polemiki, stosowną na czas bieżący, i mnóstwa innych dowolności i całej samowoli konstrukcji — przenika i skuwa go logicznie spiż konsekwencji i zawziętej, uporczywej negacji wszystkiego w Polsce dzisiejszej i historycznej, co tylko oznacza osłabienie woli zbiorowej, nieusypiającego sumienia i ogólnie - narodowej czujności i gotowości do czynu.

Już w dawnych zeszytach „Strzelca“ (z r. 1914) napotykam artykuły, które dają wiele do myślenia przez swoje podobieństwo do tego samego sposobu rozumowania Piłsudskiego.. Takim jest np. artykuł „Nasze wychowanie wojskowe“ podpisany literą J. Zastanawia w nim ciągle przytomny i obecny fantom Napoleona i wyczuwa się to samo ostrze krytyki, zwrócone w stronę rozdrabniania, „atomizacji“ wysiłków, zwanej dla okłamania sumień szlachetną emulacją sił i czynnikiem twórczego rozwoju narodu, które jest tak charakterystyczne dla Piłsudskiego. Znajdujemy tam to samo ulubienie terminów psychologiczno - strategicznych francuskich i te same przykłady z wojny bałkańskiej, a co najważniejsze, napiętnowanie tego samego „odbojowienia społeczeństwa, zanik tradycji i ducha rycerskiego, deptanego z rozmysłem i konsekwentnie w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, niszczącego i konającego zwolna w zaduchu niewoli, w atmosferze strachu i pełzania przed wrogiem“.

Znamienny jest wobec tego jego stosunek do romantyzmu. Sam, pogrobowiec ideowy wielkiej plejady, nie może przecież odmawiać jej tytułu wielkości. Znajduje więc dla niej — już nie w tejże rozprawie — lecz w pamiętnej mowie nad trumną Słowackiego, określenie, równie piękne jak i swoiste, definicję, którejby mógł mu pozazdrościć każdy z historyków literatury: romantyzm chciał siłą ducha zastąpić potęgę miecza.

„Starano się zastąpić prawdy proste, siłę miecza, prawdą siły ducha — tak, by wzmocniwszy ducha móc trwać

w niewoli i móc uzyskać siły, gdy tych sił będzie potrzeba... Starano się zamienić prostą prawdę miecza siłą ducha, który się męczył w trwodze, że siła miecza nie dorówna. Poszły w niebo harfy, gdy miecze pod ziemię się chowały, niszcząc i rdzewiejąc“.

Jednakże, choć siła ducha wroga pokonać nie mogła, to przecież stanowiła pracę i mękę tak wielką, że nie została bezpłodną. Siła ducha w narodzie jest czemś tak wielkiem, że się jej potężne armje boją, a w roku 1863 cała potęga militarna państwa rosyjskiego „z całą pracą swego aparatu rządowego nie mogła zniszczyć opieki nad wojskiem, którą dawali t. zw. cywile“. „Siła i potęga owego okresu leżała nie w karabinach i nie w lufach strzelb, lecz w cywilnem społeczeństwie, które wojska chroniło“. „Jeden z najpiękniejszych okresów, gdzie żołnierz mógł się czuć w Ojczyźnie, gdzie Ojczyzna żołnierza pieściła i kochała i gdzie ofiary, na które naród się narażał dla żołnierza, były wyższe niż żołnierz z siebie dawać potrafił“. („Źródło klęsk Rzeczypospolitej“).

W zakończeniu „Historji militarnej Powstania Styczniowego“, na krórá złożyły się wykłady, wygłoszone w Szkole nauk społeczno - politycznych w Krakowie, zwięźle ujmujące swoje dążenie praktyczne w stosunku do roku 1863: „pragnie zbudować most między terażniejszym pokoleniem a pokoleniem ówczesnem. Chce unicestwić złowrogi wpływ tych, co rok 1863 chcieliby z serca i z pamięci wymazać, a nad całym tym obrazem wyręć słowo: zbrodnia“.

Tem więcej powinna nas przekonywać ta historjografja Piłsudskiego, że przecież nie ukrywa on fatalnego balastu błędów i naiwności, które ten ruch zbrojny do ziemi przyniotły. Wykłady te są ostrą, choć spokojną i beznamietną krytyką nieprzygotowania, niezaopatrzenia się w broń, zupełnego niewyszkolenia, braku jednolitego dowodzenia. Plan Jarosława Dąbrowskiego polegał na całkiem złudnej wierze w rewolucyjność oficerów rosyjskich i na ich pomoc w walce z caratem. Plan wielkiej wojny, powzięty przez Podlewskiego — mglisty i nieugruntowany. Dyktator

Langiewicz — „panuje nad kilkoma morgami lasu“, „co najwyżej przenosi się on z jednego lasu do drugiego i panuje na długość swoich kos“ (W y k ł a d VII). Powstanie przeradza się w manifestację i demonstrację zbrojną. Słabość i wady, „zaszczepione ruchowi w pierwotnym okresie, już nie ustąpią i sytuacja już się nie poprawi“ pomimo, że nadejdzie broń, przyjdzie oswojenie się z wojną i prawdziwa rutyna żołnierska. Chwiejność i niepewność charakteryzują stan moralny powstania po nocy styczniowej. Jedynie jaśniejszą drogą wśród bezdroży już kończącego się roku 1863 była akcja Traugutta, jego potężna wola i umiejętność rządzenia, przedziwnie stanowcze i rewolucyjne rozumienie rewolucji. On nie dawał upaść powstaniu, więc gdy jego nie stało — nastąpiła dezorganizacja. „W sumie: powstanie z braku centralnego kierownictwa, z braku myśli wojennej, obejmującej cały kraj, wybuchło, jak proch rozsypany a nie jak proch nabity“.

Te same myśli rozwija Piłsudski w krótkce potem, lecz ogłasza później (w r. 1920 w książce p. t. „22 s t y c z n i a 1863“, w cyklu zbiorowym: *B o j e P o l s k i e*). Jest to historia szczegółowa, przesnuta w formie, zbliżonej miejscami do swobodnej gawędy, — jednego dnia i wszystkich jego przemian i wahań, prób i niepowodzeń, zakończonych bitwą, wydaną przez powstańców w nocy 22 stycznia sześciokrotnie liczniejszej armji rosyjskiej. Pomimo, że była taktycznie przegrana i że inaczej być nie mogło, gdyż do boju stawiała się tylko część spiskowych a reszta „nie znalazła w sobie dosyć hartu i ducha“ — stanowiła jednak, strategicznie rzecz biorąc, zwycięstwo; okazała się bowiem „niezmiernie skuteczną demonstracją wojenną, wobec której mógł już zostać wydany tejże nocy manifest nowopowstałego Rządu Narodowego, wypowiadający wojnę. Nie wyzyskano zaś tych doniosłych wyników przez kunktatorstwo, które dało „początek późniejszemu przekleństwu tej wojny: autonomji a właściwie zupełnej niezależności operacyjnej każdego z poszczególnych dowódców mniejszego czy większego oddziału — braku jednej woli i myśli kierowniczej“.

Piłsudski w swej krytyce idzie dalej i radykalizm

sądu podnosi jeszcze o jeden stopień. Twierdzi, że nawet przy uniknięciu błędów rezultat byłby wątpliwy: dysproporcja sił, brak ducha rokoszu w rosjanach, zawiedziona rachuba na interwencję Zachodu — nie dopuściłyby do zwycięstwa (*Zarys historii militarnej*).

Tylko, że powstanie „umarłoby z innemi tradycjami, niż te, jakie synom zostawiło”.

Owóż, pomimo tego surowego osądu, Piłsudski buduje ów most, albowiem widzi w roku 1863 atmosferę moralną; w organizacji cywilnej niesłychaną moc. „Bez osłony, bez opieki tej organizacji, która jak czuła matka, otaczała każdy oddział ciągłą troską, która poświęcała swoje siły na to, by nad nim czuwać, gdy oddział spoczywa, by mu dostarczyć wiadomości, jedzenia i t. p.; bez tej pomocy powstanie by nie wytrzymało dwóch miesięcy. Tylko ta sprężystość rządu niewidzialnego, niedającego się pochwycić, mającego tak ogromną powagę moralną wśród wszystkich — ratowała trudną sytuację powstania. Tylko dzięki tej organizacji mogło ono trwać tak długo”.

Najbardziej sugestywnie ten „Cud Rządu Narodowego” przemawia do nas z kart książki *Rok 1863*. Jak już natrącaliśmy wyżej, wielka i tajemna władza pieczętiki Rządu Narodowego realizuje niejako tę żądzę magji nieodpartego symbolu, tę tęsknotę, której tak często daje wyraz Piłsudski, za czarodziejskiem hasłem, przed którym pochylałyby się głowy. Szeroko rozwodzi się nad nią także w swem znakomitem przemówieniu w Klubie polityczno - społecznym w Warszawie w roku 1925, a podanem później w czasopiśmie „Droga”. Tam idea symboliki przybraną zostaje niemal w glorię mistyczną.

Zostawiam historykom krytykę tego sposobu rozumienia dostojęstwa i autorytetu Rządu Narodowego i takiego wyciągania zeń wniosków na przyszłość. Literat, mający prawo oceny, choć niefachowej ale na podstawie ścisłej zgodności przesłanek i konkluzji opartej, mógłby mieć wątpliwości, czy Piłsudski słusznie stawia dzieło odbudowy ducha wojskowego w roku 1863 na takiej niebosiężnej wyżynie. Czy nie zachodzi sprzeczność między taką gloryfi-

kacją owego symbolu — a naganą dla „nieproduktywnego marnowania czasu“, — które trwało już po narodzeniu się Rządu Narodowego. Czy nie przeczy tej szczytnej deifikacji fakt, przytoczony przez Piłsudskiego, że nawet Langiewiczowi, a więc jednemu z głównych wodzów powstania — wydało się ono raczej pomysłem jako kilkodzinne polowanie, niż rewolucja.

Możnaby mnożyć te sprzeczności lub, właściwie, tylko ich pozory. Bowiem na drogę jasnej orjentacji wyprowadza jedno: Między Piłsudskim a Rządem Narodowym zachodzi bliskie powinowactwo moralne. On musi tak go brać i rozumieć. On musi z ten sposób ujmować wielki poryw, bowiem był porywem i prawem scentralizowanym „zbiorowej energii i moralnej chęci poddania się Woli swego własnego polskiego rządu. Ustały waśnie i namiętności, które dzieliły Czerwonych i Białych — umieli się przewyciężyć, a przy tem zwycięstwie nawet ludzie mali stanęli do pracy, jako ludzie godni swej epoki“ („Rok 1863“).

Taka jest indywidualność Piłsudskiego i takie jego wewnętrzne, zasadnicze, organiczne nastawienie i ideowe przeznaczenie. Mógłby odpowiedzieć, że to raczej historia i opinia o r. 1863 była pełna sprzeczności — gdy stwarzała dwie legendy: jedną, pełną czci pobożnej dla r. 1863, niby miejsca świętych pielgrzymek, niby ołtarza narodowego, a drugą — bagatelizującą je jako niedowarzonność.

Piłsudskiemu taka historjografja jest do czynu i do dzieła jego potrzebną: po pierwsze bowiem, on czuje doskonale ukryte sumienie ówczesnej Polski i głośnie dzwoniący jej imperatyw kategoryczny, i z niego bierze materiał do moralnej odbudowy i do walki o przyszłość narodu. Po drugie, wszędzie, gdzie można wymierzyć cios w bezduch, drętwotę, niewiarę, brak entuzjazmu i inicjatywy, brak takiego zbiorowego nakazu wewnętrznego, w wygodne zadrzemanie się narodu — cios ten wymierza, i stale mając w duszy Słowackiego, cytuje inną strofę z Beniowskiego:

*I gdy na sennych was uderzą strachy,
I gdy zbudzicie się w łozu spotniały.*

*I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali —
Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Boga pokaże i przed Nim porwali.*

I dzisiaj widzi on dalszy ciąg tej samej sennaści i ubolewa, pisząc np. o Aleksandrze Malinowskim, również bohaterem w Polsce wolnej jak był nim w spętanej, że tak mało jest dzisiaj ludzi „przygotowanych moralnie do swobodnej Polski, (Zbiórowa księga pamiątkowa, r. 1924).

A widzieliśmy, że ta myśl czepia się duszy Piłsudskiego i mota się dokoła niej bezustannie, bezprzerwanie.

To swoiste naświetlanie historii przekracza u Piłsudskiego granice Polski. W ten sam bowiem sposób wyjaśnia losy i wyniki wielu innych wielkich wojen i wydarzeń dziejowych. Interesują go w szczególności te zapasy, w których widzieć można silne napięcie namiętności bojowej i w całym ogóle narodu — i brak tych danych psychicznych i, jak mówi on — socjologicznych, u jego przeciwnika.

Taka namiętność była dobrym genjuszem Rewolucji francuskiej, gdy ta walczyła z koalicją europejską, i ona to dała osaczonym zwycięstwo; taką namiętność posiadali żołnierze Napoleona i dlatego wiódł ich szlakiem triumfów. Taką namiętność posiadały Stany Zjednoczone Ameryki Północnej w wojnie o niepodległość. Najczęściej zaś zatrzymuje się Piłsudski nad wojną bałkańską, żeby z niej jak najwięcej wyciągnąć nauki.

Rozbiór tej wojny, zamieszczony w czterech numerach „Strzelca“ z r. 1914, jest właściwie znowuż tylko analizą psychologiczną stosunku dwóch podłoży duchowych. Bułgarowie walczyli, jako naród, o ziemię swą. „Ich serca i umysły były starannie przygotowane do zadań operacyjnych wojny“. „Cechował ich ogromny zapał narodowy dla sprawy wojny“. Na wojnę ciągną wszyscy, starzy i młodzi, prześcigając pod względem liczbowego wyży materiału ludzkiego nawet Francję. Kraj, w którym się bili, był im ukochany i drogi i miłość tę zaszczerpiono im w szkołach. Kraju ten nie był dla nich — jak dla Polaków

ich ziemia — zbieraniną nazw geograficznych, lecz krajem, napełnionym żywą treścią odczutyh walk i przemysłanych bojów. I oto dzięki tym danym, nawet przy olbrzymich brakach technicznych, braku elementarnego zaprowiantowania — zwyciężali. Jeśli zaś nie wyczerpali się zawczasu nieobliczalnością swojego impetu, furją swoich ataków frontowych na bagnety, to dzięki jedynie liczej organizacji po stronie tureckiej, która nie umiała korzystać ze szaleństwa przeciwnika.

Psychologja wojowania tureckiego natomiast wykazuje wszędzie te kolosalne braki organizacji, które wytłumaczyć można jedynie zupełną nieobecnością czynnika moralnego w narodzie i, co zatem idzie, w armji. Wszystkie owe nierzliczone a tragicznie — śmieszne popłochy i ucieczki, ciągle, aż do ostatecznego umęczenia dowódców grożenie szablą i rewolwerem dla powstrzymania zrywających się do ucieczki, nie zjawiskami były „na materialnym terenie“, nie sprawą materialnych kul i bagnatów, czy najnowszych wynalazków technicznych. Ten grunt materialny nie miał tu najmniejszego znaczenia: „Jedynie w niematerialnym duchu ludzkim miała miejsce walka, tam starły się pomiędzy sobą słabe „tajemnicze cnoty“ żołnierza tureckiego, z potężnymi „tajemniczymi ranami jego „moralności“, by dać w rezultacie w jednej chwili bajeczną klęskę pierwszych. Dalsze, materialne już skutki są tylko zwykłym następstwem żywej emocji duchowej, przeżytej przy tym materialnym boju“.

Skąd wziął Piłsudski „te rany tajemnicze“?

A no, z „Beniowskiego“. Jego „cudownemi strofami“ stale się zachwyca i cytuję te, w której wielki poeta romantyk śpiewa melancholijnie o podobieństwie mahomekańskiego Wschodu do jego własnej Ojczyzny. Jest to podobieństwo śmierci i ono to ojczyznę postawiło mu przed oczy, przez nią to kraina owa „serce mu wzięła i łzy mu wydarła“. I przeto, gdy Piłsudski bada historję wojny bałkańskiej, słyszy ciągle „dźwięczący mu w uszach, jak stały refren“ wiersz poety:

„Próżno, ach próżno! Rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało

*Twoje mi śmiercią już blade oblicze
Umarłych moich ojców przypomniało.*

Któżby się spodziewał takiego nawiązania sprawy ducha wojennego i „la morale“ — do romantycznej, orjentalnej nostalgji Słowackiego? A przecież jakże słuszne i mądre ono jest, ile głębokiej i prawdziwej analogji leży u podstawy losów Turcji i Polski? Czy Polska, zapytajmy od siebie, nie stała się niejako dalszym ciągiem tureckiego Wschodu przez swoją tragedję rozbiorową? Czy dzisiejsza Turcja nie jest dalszym ciągiem Polski przez swój dramat utraty prestige'u wielkiego mocarstwa? Czy świat zachodni, nazywając tak często Polskę wschodem, wschodem egzotycznym, i tak ją odczuwając, nie miał na myśli tego podobieństwa do potężnej ongi Turcji?

Piłsudski, reasumując przyczyny porażek tureckich w wojnie bałkańskiej, ową analogję, wysnutą ze Słowackiego, bierze w ręce po swojemu, niedelikatnie, i pod adresem swojego społeczeństwa rzuca takie rozwiązanie problemu:

„Ot tak odnieść zwycięstwo, jak tego nieraz pragną nasi polscy politycy, debatujący o możliwych i niemożliwych wojnach „z przelaniem paru — broń Boże nie więcej — kropelek krwi — o! na toby poszedł turecki żołnierz! Ot tak gdyby mu ktoś zagwarantował, czy dowiedział, że zwycięży, to możeby się bił przyzwoicie! Lecz sam z siebie ani chciał się bić, ani w skutek swych usiłowań nie wierzył. I to jest podstawową przyczyną klęsk tureckich“.

Studjum to jest znowu jednym z tych, którego nieodpartej sile argumentacji oprzeć się nie można, którego głęboka znajomość materiału historycznego zadziwiać musi każdego. A przytem język uporządkowany, jasny i giętki, pełen polotu, zaś argumenta pełne dowcipnych forteli. Tak np. autor mistyfikuje czytelnika, podając dzieśnięć wypisów z raportów wojennych, świadczących o nieładzie i braku organizacji. Wszystkie dobitnie mówią o straszliwej doli lub też „derucie“ wojska w pewnych momentach krytycznych. Ale nie wszystkie wzięte są z wojny bałkańskiej. Bynajmniej: połowa odnosi się do wojen

Napoleońskich i rosyjsko-japońskiej. Ale cóż? Ta połowa żałosnych biuletynów „deroute’y” i bezładu — jest tylko pozornym dokumentem klęski, w rzeczywistości zaś jedynie obrazem chwili, która poprzedzała zwycięstwo lub heroiczną sławną obronę skazanej na stracenie pozycji. A wziął je, te epizody w gruncie rzeczy chlubne, i zebrał Piłsudski, ażeby pozornie przypomniały chaos w armji tureckiej i wiodły do magistralnego wniosku, że owa morale wojska, wielki Duch wojenny, namiętność i żądza zwycięstwa i wiara w nie, — osiadła na dnie duszy żołnierstwa — niekoniecznie opierać się musi na ładzie i porządku i ściślejszej organizacji, zawczasu przygotowanej we wszystkich szczegółach. One mogą nie działać, gdy tylko istnieje karność wyższego gatunku, gdy dopisuje owa morale, która jest namiętnością i wiarą, „choćaby jedna nic wspólnego z etyką, druga z rozumem i rozsądkiem nie miała”.

Nie dotykam tu trudnych dla mnie, jako dla niepoświęconego w tajniki strategji — rozważań na temat pierwiastku improwizacyjnego w naprawie armji tureckiej, choć przecie myśl ich przewodnia jest dla każdego jasna. Czynniki improwizacyjny, jako twórczy i z intuicji się wywodzący, ma swoje wielkie znaczenie, jest cechą prawdziwego talentu wodza, żadną zaś miarą nie przeszkadza do odniesienia zwycięstwa.

Aczkolwiek wszystkie te rozumowania wciągają nawet niemilitarnego czytelnika w swój wysoce zajmujący i niezwykły tok, opieram się pokusie odtworzenia ich, ażeby jeno zaznaczyć, że suma ich to postulat: z jednej strony wizji twórczej wodza, o czym wymownie też poucza w pierwszym z swoich wykładów wileńskich, lotnej jak natchnienie, sprężystej i naglej koncepcji, z drugiej — przeniknięcie się narodu i wojska namiętną chęcią zwycięstwa i gorącą w nie wiarą.

To podłoże psychologiczno-socjologiczne danego narodu, to jego niejako „fatalne” nastawienie się w kierunku woli zwycięstwa, daje prawo do pewnych jeszcze dalej idących konsekwencji, już nietylko strategicznego lecz wprost głęboko ideologicznego stempla. Należy temi wnio-

skami uzupełnić zakończone już w rozdziale poprzednim rozważania o ideologii Piłsudskiego.

Mianowicie stajemy nagle między dwoma biegunami możliwości, między dwiema krańcowościami. To wydaje się nam Piłsudski militarystą, do ostateczności zatwardziałym, co jak chcą etykiety, naklejane przez polityków kawiarnianych „łubi wojenkę” — to znowu ukazuje się otoczony niemal mgłą idealizmu, na wysokościach kultu ducha w narodzie, takiego kultu, któryby prawie że wyciągał ręce do idei pacyfizmu i powszechnego braterstwa. Ale jak pierwsza hipoteza byłaby raczej kabaretowym conceptem, sprzecznym z ideowym liryzmem Piłsudskiego i jego głęboko emocjonalną naturą, tak samo drugą hipoteza byłaby złudzeniem. Wszystko tylko nie fikcja i fantazja, wszystko tylko nie iluzje w obliczu prawa wiecznej wojny; wszystko wobec niezblaganego faktu, który można by określić kanonem Napoleona, wprowadzie niecytowanym przez Piłsudskiego, lecz napewno przezeń na całej linii jego filozofji politycznej wyznawanym: że polityka narodu leży w jego geografji. Wielki artysta i patryjota, jakim był Stefan Żeromski, „sumienie narodu”, w zakończeniu „Popiołów” zdawał sobie doskonale sprawę, że w Polsce każdy musi być żołnierzem.

Natomiast inny wniosek, natury programowej, jest pewny i wysnuwam go w głębokim przekonaniu, że jest na wszystkich przesłankach psychologii i socjologii Piłsudskiego oparty.

„Koncepcja twór powiewny, ma płynąć z woli podwładnych, i w ich duszach zawiązywać węzły psychiczne, które niemi kierują”.

Mowa tu, rzecz prosta, o koncepcji wodza, znanej nam już z wykładów wileńskich. Duch rycerski i namiętna żądza zwycięstwa muszą być stanem zbiorowym, powszechnym, społeczeństwa, jego socjologją. Tak samo socjologją jego, dyspozycją zbiorową, ogólną, musi być jego wysoka czujność polityczna i świadomość obywatelska, i morale cywilnego społeczeństwa.

Oto dlaczego Piłsudski nie jest żadnym dyktatury. Dyktatura jest zaprzeczeniem, zdezwuowaniem woli i cno-

ty zbiorowej obywateli; odbiera im pierwszeństwo udziału w wielkich sprawach. I oto dlaczego, mogąc tyle razy dyktaturę tę zagarnąć, nawet wspomagany tajemnem życzeniem i sugestją zmęczonego rozterkami społeczeństwa, nie uczynił tego, hamletyzował i hamletyzuje — w imię wyższej, ogromnie wysokiej zasady nie odbierania temu społeczeństwu namiętnej duszy zbiorowej.

A powtóre, gdy się przyjmie za pewnik, że owa morale rycerska w narodzie istnieje, że udało się ją zaszczerpić i naród w jej szkole wychować, to pocóż dyktatura? Dążąc z całą pasją przenikliwego znawcy i psychologa wielkich wojen, zwycięstw i porażek, do utrwalenia w narodzie ducha rycerskiego, Piłsudski nie mógł przecie jednocześnie dążyć do odebrania mu ducha wogóle, do znieweczenia jego woli i wyższego podszeptu. Jeżeliby zaś koncepcji dyktatury swojej czy cudzej, nie odrzucał, to chyba tylko na czas krótki, przejściowy, póki by nie minęło ostre nasilenie defetyzmu. W źródłach klęsk sam podkreśla ostre swoje, bezwzględne, pytyjsko wyroczne zdanie: Ostrzegam, jak siebie ciągle ostrzegałem, że Polska na zdrowe drogi wejść nie będzie w stanie, nim pokolenie niewoli po 63 r. nie wymrze.

Na ten tedy okres możeby uchwalil metody rządzenia dyktatorskie.

Naogół zaś, wobec postulatu podniesienia ducha obywatelskiego w społeczeństwie, teza dyktatury staje się nonsensem. Z dyktaturą może iść w parze tylko gruba tresura. Piłsudski w swym przytomnym, bystrym rozumie i nieubłaganej konsekwencji, nonsensu takiego nie ofiarowywałby swojemu narodowi. Napotkałem inne jeszcze wytłumaczenie tej niechęci do dyktatury, podsuwanej wyraźnie lub podświadomie przez ogół. W ciekawym artykule historyka lubelskiego prof. Popławskiego („Ziemia Lubelska“ z dn. 19 kwietnia r. 1929) obok bardzo celnych uwag o wielkich wodzach i mężach stanu, zastanawia myśl, że Piłsudski bałby się może iść śladem aż czterech okrzykniętych dyktatorów polskich w XIX wieku (Chłopicki, Mierosławski, Langiewicz, Traugutt, którzy skończyli klęską. Stwarzając poniekąd uprze-

dzenie, że w polskiej historii miano i urząd dyktatora jest sprzęgnięte z nieszczęściem, prof. Popławski wyraża jednak nadzieję, że może Marszałek będzie się czuł na siłach poddeptać nieszczęsną tradycję i zmyje złe piętno z urzędu dyktatora. Ale wnet łagodzi to suflerstwo, przypominawszy, że nawet skromny tytuł brygadiera lub komendanta nie przeszkodził Piłsudskiemu spełnić dziejowego i optymistycznego imperatywu swego narodu. I przedtem jeszcze bierze z historii przypomnienie, że wielcy naczelnicy państw nie lubili tego suwerennego urzędu i zadawali się stanowiskiem konsulów, protektorów (Cromwell), princepsów (August) i t. d.

Piękne i mądre jest wyrażenie tego historyka: *optymistyczna energja narodu*, której Marszałek jest wyrazicielem.

Postulat tej energii, naświetlający królewską przeszłość Polski a potem późniejsze zarysowanie się jej zrębów, jest niewątpliwie wspaniałą kopułą na strukturze myśli historjozoficznych i psychologicznych Marszałka. Ono wynagradza też wszystkie owe dygresje, za które Piłsudski sam się często żartobliwie karci, i wszystkie owe folgowania popędowi do chłosty moralnej i argumenty, zbędne może, o których mówi tenże prof. Popławski, że nie stoją na wysokości decyzji.

ROZDZIA VII.

GDZIE TWOJE MIANO, WIELKOŚCI!

Istnieje w świecie ducha pewien rodzaj magnetyzmu, który jest wiecznem źródłem oczarowania i potęgi: jest to magnetyzm historii, urzekający romantyzm wielkiej przeszłości.

Co było wielkie a jest niepowrotne, prosto dlatego, że przeszłość nie wraca i biegu czasu odwrócić nikt nie zdoła, magnetyzuje pewne dusze i wznosi je nad poziom rzeczywistości, choćby ona była rozległą jak świat cały i posiadała nieprzeparte uroki.

Istnieje i drugi rodzaj magnetyzmu, nie mniej jeśli nie więcej fascynującego dusze wrażliwe. To poezja, która ową wielkość opiewa, stawia jej pomniki piękniejsze od tych, które wnosi nauka historii. Wessawszy w siebie wszystkie soki wielkiej przeszłości, poezja staje się poniekąd jej zastępcą, o ile wizja może być zastępcą autentycznej jawy. Jest to jednak coś więcej, niż wizja, gdyż stanowi ponowne intensywne przeżycie owej wielkości, twórczym skrótem arcydzieła przebywając całe stulecia i zgarniając nieskończoność w jeden akt natchnienia.

Szczególnie podatnem na dwa te magnetyzmy medjum jest Józef Piłsudski. Możnaby miemać, że w stan potęgi, walczącej z ograniczonością tego, co jest, wprawia go wizja Bolesława Chrobrego i Jagiellonów, oraz wielkość iszczonej przez nich idei zapewniania Polsce władzy, ugruntowanej na takich wpływach, związkach i granicach, któreby ją czyniły równą majestatem innym mocarstwom Europy.

W tym stanie quasi-medjumicznym Piłsudski łamie granitowe zapory, przewiduje przyszłość, chwali lub potępia przeszłość, stosownie do jej wartości z punktu widzenia wielkości; nabiera daru jasnowidzącej intuicji, gdy idzie o wrogów wewnętrznych i zewnętrznych. A przedewszystkiem rozświeśla się światłem rozumienia, jak irracjonalne

są drogi genjuszu i jego wiara w swoją gwiazdę przewodnią, jakie zwierchnicze posiada on prawo słuchania tylko swojego przeznaczenia.

Stan medjumiczny Piłsudskiego nie posiada żadnych znamion uśpienia lub transu, jest to bowiem stan trzeźwości, ale takiej, która przewyższa ekstazę, gdyż ma moc realną — kształtuje wypadki. Nic a nic nie mając w sobie upojenia, owszem, z bystrością ostrowidza ogarnia położenie.

Jako wódz, w tym stanie napięcia prawie medjumicznego pozwala rządzić sobą mocom, zwykłym ludziom nieznanym, a przede wszystkim mocom koncepcji, pod wpływem których chwyta pomysł twórczy i tak szybko przewciela go w decyzję, jakgdyby ona spadła nagle z nieba. To znowu porwać się daje odwadze, która unosi się po nad wszelkie zwykłe szczyty męstwa.

W jednym z dramatów swoich, najwięcej według mnie powołanym do trwania nieśmiertelnego, w „Pretendentach do tronu“ Henryk Ibsen wprowadza na scenę władcę urodzonego, króla z przeznaczenia, zwycięzcę, który, jak w słowach poety, dzieckiem w kolebce lby urywał hydrze — młodzieńcem dusi centuary. Tajemnica tej istotnej królewskości Haakona Hakonsona w przeciwieństwie do jego rywala, Skulego, jest raczej metafizyczna niż mistyczna: posiada on pewną wielką prostą ideę — ideę stworzenia Narodu i ten wielki gorejący plan nie dopuszcza do niego uczucia porażki, nawet gdy w pewnej bitwie z rywalem poniósł klęskę — i ostatecznie trjumfuje. Natomiast Skule nie posiada twórczej idei, nie ma pionu, jest schematycznym, pospolitym następcą tronu, może nawet więcej prawowitym niż tamten, ale niezapłodnionym żadnem wyższem, wielkiem poczuciem. Cała jego idea to państwo jako obiekt rządzenia i teren walk partyjnych, z których można wyciągać korzyści, — gdy Haakon chce to państwowe ciało wypełnić jedną żywą duszą narodu. W Skulem, innemi słowy, niema iskry bożej wielkich przeznaczeń, nie kocha on namiętnie swojego celu. Jest prawie tak zimny i tak wyrachowany, jak wielki cywil industrialny, John Gabryel Borkman.

Piłsudski jest z rodu Haakonów. Dawał duszę, więc mu płacono duszą, kładł w historję płomienne serce, więc historja swoje serce gorejące mu otworzyła.

Medjum to, zahypnotyzowane przez wielkie monumentalne wizje; według ich miary zakreśla swoje zadanie, buduje wielkość swojej Ojczyzny, lecz i wie zarazem, że taką pracą buduje się i swoją własną wielkość. Szukanie wielkości, żądza jej realizacji w sobie i dokoła siebie, daje mu w ręce wielką, trudną miarę, której nawet sławne wypadki i wielu sławionych przez historję ludzi nie wytrzymuje. Dlatego to, gdy mierzy posągi bohaterów r. 1863, po każdym rzuceniu wzroku przez szkła wielkości, wydaje sąd sceptyczny. Zmierzywszy margrabiego Wielopolskiego, Langiewicza, Mierosławskiego, Podlewskiego i nawet potężnego Traugutta, powtarza melancholijny refren: Wielkości, gdzież twoje imię!

I znajduje ją dopiero w głębinach zbiorowości, w duszy narodu, który się ocknął i zapalał żądzą wolności.

Możnaby snuć wywody ciekawe i długie na temat chęci nawiązania do wielkiej polityki Chrobrego i Jagiellonów i przedstawić Piłsudskiego jako ich spadkobiercę. Lecz pozostając pod potężnym urokiem przeszłości, był też zamagnetyzowany siłą rzeczy wiści. I to jest najważniejsze źródło szerokiej orbity, po której krąży jego myśl. Pojmuje on całkiem realnie wielkość, jako spokojne oparcie na szerokim zabezpieczonym fundamencie rubieży i sojuszków, na posiadaniu wszystkich tych czynników i warunków. Na jego mądrości historycznej wznosi się wielka mądrość życiowa, której uczy dziś więcej niż kiedykolwiek nastrój i ustrój polityczny świata, tak zrozumiały w tem, co wyjawia, i tak jasny w tem, co ukrywa. Piłsudski jest uczniem wielkiej akademji walki i współzawodnictwa narodów i z tej globalnej uczelni wyniósł to, co Daszyński nazywa „gigantycznym pomysłem”. Stworzenie niepodległej Ukrainy to byłby „w razie powodzenia straszny cios w imperjalizm rosyjski, uważający Ukrainę za swoją zdobycz od trzech wieków, cios w panowanie Rosji nad morzem Czarnem; cios w cały ekonomiczny ustrój państwa rosyjskiego „białych czy czerwonych carów”. Jednak „nie można było wskrzesić Ukrainy wojskiem polskim, potrzebna do tego była wola milionów Ukraińców. Woli tej nie było. Nie było jej nawet w tak małej mierze — jak ją mieli Polacy“ („Wielki człowiek w Polsce“).

Wszedłem na krótką chwilę w gąszcz polityki, biorąc za przewodnika polityka z zawodu. W dzisiejszych jednak czasach, gdzie właściwie wszystko się rozwija w duchu idei Haakona — Piłsudskiego i wszystkie narody są państwowo uświadomione i czujne, wszystkie zawody, nawet ściśle intelektualne, w życiu politycznym udział biorą, zrzekanie się prawa samoistnego sądzenia o rzeczach politycznych byłoby małoduszmem ustępstwem na rzecz ciasnej maksymy fachowości, nie zaś szczerem do tych wielkich spraw ustosunkowaniem się.

Literatura zresztą nauczyła się dzisiaj w ten sposób ujmować wydarzenia i osoby polityczne, tak do nich podchodzi, że w nich widzi naturalne wdzięczne obiekty nawet dla ambicji pisarza estety, a w każdym razie dla pisarza psychologa, fizjonomisty ludzi i wypadków, zwłaszcza gdy chodzi o myśl lub wypadki polityczne wielkiej miary. Otóż „gigantyczny pomysł” jest obeliskiem, widocznym zdala i dla wszystkich.

Natomiast już za przewodem fachowców muszę kroczyć, chcąc rzucić z góry pewne światło na pisma militarne i także wyznania Piłsudskiego. Biorę do tego celu ostatnie wy-nurzenia jednego z młodych poważnych historyków wojskowych, majora dr. Wacława Lipińskiego, który szczególnie umiejętnie określa dar obejmowania sytuacji i siłę decyzji, właściwe Piłsudskiemu:

„Od pierwszych chwil wojny z Rosją — narzuca swą wolę przeciwnikowi; inicjatywa jest prawie nieustannie po stronie Józefa Piłsudskiego. Sam prowadzi uderzenie na Wilno, przeprowadza operację niezwykle zuchwałą, jeśli brać pod uwagę ryzyko, które jest koniecznym elementem wojny i którego zastosowaniem musi umieć się wódz posługiwać by móc zwyciężyć”.

Po ofensywie na Kijów oddawszy „na krótki moment inicjatywę w ręce wroga — chwyta ją znowuż w warunkach jak najbardziej tragicznych dla wojska i państwa, w chwili, w której zdawało się, że wali się cała budowa państwa, że ginie w potokach krwi zdobyta z takim trudem niepodległość.

W owej pamiętnej chwili, gdy powszechne przerażenie odjęło wszystkim nieomal władzę, jeden jedyny Wódz Naczelny nie poddał się psychicznym działaniom klęski. Zanim raz jeszcze pokonał wroga — klęskę pokonał sam w sobie. Zbiera i gromadzi odwodową armję, z tą armją, jak straszliwym grotem, uderza na boki uderzających na Warszawę Rosjan i w szalonym tempie prowadząc akcję zaczepną, w ciągu ośmiu dni oczyszcza Polskę od Warszawy do Bugu i Niemna. W bitwie tej, jak Marszałek Foch w dniach bitwy nad Marną, zdobył się na największy wysiłek moralny i tym wysiłkiem moralnym pobił raz jeszcze nieprzyjaciela. Podobnie w ostatniej bitwie nad Niemnem — uprzedzając ofensywę przeciwnika o dwadzieścia cztery godziny, znów przeprowadzając zuchwałe uderzenie na jego tyły — gromi armje rosyjskie do tego stopnia, że wszelki po nich znika ślad. I tutaj postawiwszy sobie za główny cel pobicie żywych sił nieprzyjacielskich, po ich złamaniu, rozpoczyna morderczy pościg, wydobywając z żołnierzy swych resztki możliwych sił, morderczym tym pościgiem ostateczny przeprowadzając pogrom wojsk rosyjskich“.

Ogólną zaś charakterystykę tych walorów Piłsudskiego dr. Lipiński w ten sposób formułuje w początku i w końcu swojego artykułu (Strzelec Nr. 11 rok 1929): „Umiejętność postawienia sobie głównego celu i umiejętność ześrodkowania swej woli w kierunku osiągnięcia tego celu, by drogą możliwie najbardziej skoncentrowanego wysiłku osiągnąć maximum powodzenia“. „W przekroju tych wartości Józef Piłsudski wyrasta na jednego z największych polskich genjuszów militarnych, genjuszów, które gdy łączą ze sobą głębokie zrozumienie całości życia narodowego, stają się tem, czem jest dzisiaj i pozostanie Józef Piłsudski — Wodzem Narodu“.

Rzecz prosta, iż krytycy, którzy postawili sobie za zadanie doprowadzić cynizm w rzeczach politycznych do ostatecznej konsekwencji, będą poglądów odmiennych.

Zostawiając ich własnej zabawie w ustawianie krzywych zwierciadeł koło postaci Piłsudskiego, przytoczę jeszcze jego własne wynurzenia z R o k u 1920, z których ów wiel-

ki dar operowania jedynie kategorjami gigantycznymi szczególnie żywo i pięknie się uwypukla, gdy przeciwstawia metodzie wojowania bez natchnienia system nagłych objawień i orjentacji.

„Wielki wódz świata wojny — czytamy w rozdziale V dzieła — który olbrzymim swym genjuszem przełamał ongiś strategję linji i niezdobytch pozycyj, wielki Napoleon musiał nieraz w grobie się przewracać, myśląc o zaniku jego nauk i zgubie w bezpamięci jego świetnych czynów. Gdy on dumnie mówił, że wiele wojen wygrał nogami żołnierzy, ich ruchem i błyskawicznym manewrem, tu wojna najwidoczniej się wyradzała, degenerując się w bezpłodne usiłowania wszelkiego rzemiosła i industrii, wysilających swe ręce dla podaży olbrzymiego materiału, potrzebnego dla prowadzenia tego rodzaju zapasów. Złamania woli przeciwnika oczekiwano od zmęczenia przez ustawiczny mord ludzi i przez wypompowanie sił przemysłu i rękodzieła“.

Potrosze znamy te rzeczy z roztrząsań o animizmie Piłsudskiego. Tutaj akcentujemy ich znaczenie z punktu widzenia idei wielkości. Tchną nią wszystkie te stronic polemiki z Tuchaczewskim i taką strategją, której się zdaje, że wielkie cele osiąga się małością posunąć, brutalnością i materializmem środków technicznych. Najlepiej zaś to szerokie tchnienie wyczuwamy w zakończeniu rozdziału VIII:

„Nie marnego kontredansa, lecz wściekłego galopa różnęła muzyka wojny. Nie dzień z dniem się rozmijał, lecz godzina z godziną. Kalejdoskop w takt wściekłego galopa zakręcony, nie pozwalał nikomu z dowodzących po stronie sowieckiej zatrzymać się na żadnej z tańczących figur. Pękały one w jednej chwili, podsuwając pod przerażone oczy całkiem nowe postacie i nowe sytuacje, które przerastały całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary“. „...Zawsze z przyjemnością wspominam, że zakręciwszy korbę kalejdoskopu na takt wściekłego galopa, i kontrolując siebie co chwilę, konstatowałem z rozkoszą, że zachowuję dobrą *tête froide* d'un chef, który nie dostaje zawrotu głowy od zwycięstwa i nie upada od porażek. To też, gdy Warszawa po przydługiej sugestji klęski, przeszła do festynów i uroczystości, ja w Siedlcach przy-

gotowywałem dalszą wojnę, i zaraz po wzięciu Łomży, bo 23, dałem nowy zarys dalszych operacji. Zmieniłem odrazu nienaturalny, ku północy zwrócony front, na prosty i naturalny — wschodni, dzieląc wojska na nowo pomiędzy nowe armje i przechodząc jako zwycięzca do porządku dziennego nad mnóstwem śmiesznego chaosu dowodzenia i jego rozkładu z czasów porażek i klęsk“.

To górne samopoczucie nie mogłoby być posądzone o jakieś pokrewieństwo z pychą. Piłsudski łowiem z tą samą szczerością maluje i swoje stany trwożne lub nawet bolesne, poprzedzające wielkie decyzje. Mówi on: „Istnieje cudowne określenie największego znawcy duszy ludzkiej na wojnie — Napoleona, który mówi o sobie, że gdy przystępuje do dania ważniejszej decyzji na wojnie, jest „comme une fille qui accouche“ — jak dziewczyna, która rodzi. Nieraz po tej nocy myślałem o wielkiej finezji myśli Napoleona, który gardząc słabością płci pięknej, siebie, olbrzyma woli i genjuszu, przyrównuje do słabej dziewczyny, męczącej się położu“.

Jest to, chce się rzec, jakgdyby podług słów Kazimierza Tetmajera: „Męczarnia wieszczą w chwili tworzenia to boleść matki w chwili porodu“.

Ma się wrażenie, że Piłsudski poza tworzeniem nie widzi idei bytu. Dla niego „zadaniem duszy ludzkiej wogóle jest tworzenie, koncepcje są tworzeniem nagłem, rodzajem natchnienia, dowództwo to zdolność koncepcji“. (Wykłady wileńskie). A dalej mówi: „Tworząc koncepcję wileńską, czułem, że tworzę rzecz piękną“. „Młodzieńcza siła, którą mi dała myśl o Wilnie, pozwoliła tak dziwną koncepcję życiem obdarzyć. To też doznałem rozkoszy trjumfu, wszyscy się cofali, ja jeden nie. Autorytet zdobyty, egzamin złożony. Jestem Naczelnym Wodzem, który umie sięgać po rzeczy wielkie...“.

„Myśl moja wraca do mnie trjumfalnie czysta i niezbrukana, z rąk tych, co ją wykonali, nie spaczyli, nie zepsuli. Do żadnego miasta zdobytego przezemnie nie wjeżdżałem z takim uczuciem, jak do Wilna. Te słodkie pieśni dzieci, te trwożne oczy matek, te łzy, te wzruszenia... Wjeżdżałem konno... czekało miasto moje... trjumpf duszy

był zupełny, a ileż pracy nowej, słodkiej, było jeszcze przedemną”.

Cele swoje realizuje z naciskiem siły przeznaczenia: „Musiałem żądać jestestwa ludzkich dusz na rzecz triumfu i zwycięstwa, bo sam kładłem w to duszę całą”.

Tę siłę fatalną odczuwa nietylko w sobie, ale jak zawsze, w chwilach wpatżenia w siebie, także i w Napoleonie: „Wola męki nie chce, szuka siły. Nieraz wspominał Napoleon o swem austerlickiem słońcu, dlatego, że to była jego najpiękniejsza, najśmielsza koncepcja, bitwa najryzykowniejsza, walczyło przeciw niemu trzech cesarzy. Są w bojach, zdawało by się, niewzruszone prawidła. Napoleon lekceważy je, robi po swojemu, niespodzianie, nieobliczalnie i zdumiewa koncepcją, której nikt przewidzieć nie mógł. Dla powzięcia takiej decyzji z pewnością męczył się i łamał, tak jak musiał się łamać ze sobą, gdy z pod Waterloo szedł na wyspę św. Heleny z duszą umęczoną zdradami i upokorzeniem, ale i tu męka jego nie była słabością, bo czasami dusza potężna męki szuka”.

Widzimy więc, jak przebywa stale w środowisku dusz potężnych, niemi się zasila i poucza. Widzimy zarazem, jak w tem ciągłym przebywaniu na wysokościach nie przestaje ani na chwilę być duchem, sycącym się pokarmem idei i to go różni od wszystkiego, co jest nie polskie i chociażby było napoleońskie. Sam wspomina w *Demokracji i wojsku* o cynicznej tezie Napoleona, że nawet z guzika zrobić można przy zręczności wodza symbol, dla którego żołnierze będą ginęli. I w istocie Napoleon zawsze staje przed nami w draperji cesarza-imperatora, dumnego światobórcy, który ciska swoje koncepcje polityczno-wojenne po całym niemal globie i przemawia do ludzi językiem, już niedalekim aforyzmów Victora Hugo. Piłsudski zaś ani na chwilę nie pozwala, żeby w nim zatrzymała się krew wyzwolenczej pasji i ciągle otwiera serce swoje, żeby świat widział, jak ono uderza i jak się tą żądzą wyzwolenia zalewa.

Zobaczmy jeszcze, jak w dwóch, z pośród najpiękniejszych rozkazów, bije to serce wtórujące bądź wielkim postanowieniom, bądź radości i wdzięczności. Pierwszy

to rozkaz natarcia, datowany 15 sierpnia i przesłany gen. Śmigłemu-Rydzowi. Chwila to była przełomu w losach Polski, a może i w dziejach cywilizacji. Piłsudski działał tutaj, i jak człowiek, sprzymierzony z owymi, rzec można, niepoznawalnymi i irracjonalnymi czynnikami, z owymi poza-naturalnymi mocami. W punkcie V-tego bezcennego dokumentu widzimy wyraźnie to przesilenie się mocy, jak-gdyby z Konradowej Improwizacji, choć wyrażone ostrym, twardym językiem żołnierskim:

„Zwracam uwagę na bezwzględną konieczność przeprowadzenia całej operacji w nakazanych rozmiarach. Względ na zmęczenie ludzi nie może tutaj odgrywać roli: wszystkie wojska, a szczególnie zaś prawe skrzydło 4-ej armji muszą się liczyć z tem, że nawet słaba osłona i niepewność sytuacji na skrzydle nie może powstrzymać marszu w jego głównym kierunku. Wszystkie wojska zrozumieć muszą, że bitwa ta rozstrzyga losy wojny i kraju i że dać ona może pożądane rezultaty tylko przy najwyższym wysiłku sił i woli każdego poszczególnego żołnierza i oficera. Daleko posunięta inicjatywa ofensywna wszystkich dowódców będzie gwarancją zwycięstwa“.

Olbrzymia ta gra była niewidzialnie oparta o niewidzialną również, ale jako głos Boga przeczuwaną odsiecz potęg — imponderabiljów, o których mówi Maurycy Maeterlinck w swojej książce *Mądrość i przeznaczenie*. Znakomity ten poeta-myśliciel może najlepiej ze wszystkich określił, nie wciągając się bynajmniej w tani mistycyzm, rolę czynników nieprzewidywanych i sił nienazwanych w realizowaniu się decyzji wielkich ludzi. Owe potęgi nieogarnione i nieznane, zdolne dokonać rzeczy, na które byśmy się ważyć nie śmieli, przyjdą nam z pomocą, ale tylko wtedy, jeśli znajdą w głębi serca naszego ołtarz sobie poświęcony. Taką to właśnie część działania w czynach niezwykłych — mówi Maeterlinck — pozostawiali losowi ludzie, największą wyposażeni wolą, jak np. Napoleon. Jest to owa idea, tajemna, nieugięta, niewzruszona, która żyje w naszej duszy.

Ta idea, wola i dusza stanęły właśnie na baczność w owym wielkim rozkazie i czynne były w jego wykona-

niu. A kiedy potem, po ostatecznem zwycięstwie, które naród nazwał „cudem nad Wisłą“ przyszło odprężenie potęgi i woli i duma zasiadła na miejsce nadczłowieczego wysiłku, kiedy Piłsudski w rozkazie (z dn. 14.X 1929 r.) dziękuje żołnierzom za ich „pracę i wytrwałość, za ofiarę i krew, za odwagę i śmiałość“, kiedy przypomina im, jak o chłodzie i głodzie szli do krwawego boju, „który usiał tysiącami mogił i krzyży żołnierskich ziemię dawnej Rzeczypospolitej, od dalekiego Dniepru do rodzinnej Wisły“— to cóż dziwnego, że przyznaje się, iż nieraz na ten widok łzy mu się cisnęły do oczu?

Trudno żeby ten rodzaj wielkości, łączący w sobie potęgę koncepcji z bezustanną spowiedzią, mógł być zrozumiałym. Dzieliąc się ze wszystkimi tajemnicą swojej twórczości i odsłaniając przed wszystkimi zakulisowe sprężyny swojej wielkiej gry, mimo to, albo może właśnie dlatego pozostaje samotnym. Tu znowu przypomnę niezmiernie trafne rozgraniczenie, jakie czyni prof. Mieczysław Popławski pomiędzy wielkimi wodzami narodów łatwo zrozumiałymi, a tymi, co pozostają zawsze samotni. „Pierwsi to tacy jak Pompejusz i Antonjusz w Rzymie, jak Fryderyk Wielki, Marja Teresa i Napoleon III, jak carowa Katarzyna, Mikołaj I i Metternich, jak Masarini i Ludwik XVI; w Polsce w bieżącej dobie zdaje się, że zbliża się do nich generał Sikorski, jedyny materiał na męża stanu wśród wszystkich przeciwników Marszałka po prawicy i lewicy“. Drudzy to według p. Popławskiego tacy naczelnicy, jak Aleksander Wielki, jak Scypjonowie starszy i młodszy, Marjusz i Sulla, Cezar i August, jak Napoleon Wielki i Oliver Kromwel, Piotr Wielki i Bismark, a u nas w dobie obecnej Marszałek Piłsudski. Pierwsi nie szukają nowej idei, są wykonawcami istniejących już tendencji i rezultatem już dziejącego się rozwoju, drudzy mają do siebie to, że odbiegają od istniejących wzorów i programów i bezpośrednio sąsiadują z procesami, utajonemi w narodzie i państwie. Dla przeciwników są czasem jak druzgocąca lokomotywa, gdyż są wyrazicielami elementarnej woli do życia swego narodu, woli, która rozrywa i zrzuca z siebie wszelką przeszkadzającą łuskę i skorupę.

Wybrałem z artykułu prof. Popławskiego tylko zdania najbardziej wyraziste i odrzucam bardziej dżalektyczne motywy owego podziału na dwie kategorie, motywy w wysokim stopniu ciekawe, mądre i wyśmienicie przystosowane do tego, żeby zrozumieć Piłsudskiego lepiej na tle całej historii...

Samotność Piłsudskiego i niezrozumiałość jego idei najlepiej wystąpiły przy sposobności hołdów, które u nas złożono pamięci wielkiego wodza i człowieka, Marszałka Focha. Z tych hołdów, które powinny były być czyste i bezinteresowne, jak czystym i bezinteresownym był wielki wódz-zwycięzca w Wielkiej wojnie wszechświatowej, zrobiono propagandę strącania z piedestału swojego wodza — Józefa Piłsudskiego. Zapomniano o jednej drobnej rzeczy: wielki zmarły wyrósł, systematycznie rosnąc, z powołań i uprawnień, które otrzymał od swojego narodu, narodu od wieków normalnego i prowadzącego do chwały wszystkich tych, co na chwałę zasłużyć umieją. Piłsudski wyrósł z narodu nieszczęśliwego, o linii dziejowej nienormalnej i prawie że chorej i to co zdziałał, zdziałał nie z mocy powołań i uprawnień, otrzymanych od narodu, lecz całkiem wbrew jego zamroczonemu patologicznie instynktowi samozachowania.

Jeżeli gdzie może być mowa o wielkości, to właśnie w tym wypadku.

Jest to ten rodzaj wielkości, o którym Piłsudski prawdopodobnie myśli, gdy mówi o woli, o sile, o mocy. Siła i moc — czy to nie tautologja? Bynajmniej, możnaby dodać jeszcze: „potęga“ i wtedy jeszcze pleonazmu nie będzie. Piłsudski niejednokrotnie pojęcia te kojarzy w jednym wywodzie i grupuje w jeden trójliść. A że jednocześnie zapytuje po kilkakroć: „Gdzież twoje miano wielkości“, to ma się wrażenie, że zarówno owa rozmyślna tautologja jak i to zapytanie są dźwięcznym echem lub częściową parafrazą tej wielkiej apostrofy do wielkości, którą tak samo tautologicznie Stanisław Wyspiański rozpoczyna swój wieszczy rapsod o Kazimierzu Wielkim:

*Wielkości! komu nazwę twą przydano
Ten tęgich sił odżywia w sobie moce.*

Stawiam to jako hipotezę, która dla mnie prawie że równa się pewnikowi. A jeśli nim nie jest, to pojęcie wielkości Piłsudskiego zbiega się szczególnie, wprost przedziwnie, z pojmowaniem jej przez Wyspiańskiego.

Naogół dwaj najwięksi poeci polskiej królewskości, Słowacki i Wyspiański, patronowali Piłsudskiemu, gdy się w nim wyrabiał ideał wielkości. Jest to całkiem naturalne, obadwaj bowiem największy swój artyzm, najwyższy wogóle w literaturze polskiej, chcieli przekuć na berło królewskie dla Króla-Ducha. Obadwaj tem są do siebie podobni i dlatego późniejszy prowadził dalej królewsko dachowe dzieło wcześniejszego, że w sposób pokrewny gloryfikowali przeszłość Polski, jak i chłostali teraźniejszość węzowami różgami ironji. Oprząd tego tworzywa, które z obydwóch wysnuwało się jak ze złotych pajaków, opowil twórcę legjonów, do tego stopnia, że natchnął go najpiękniejszymi może słowy, jakie wyrzeczone zostały o Słowackim. W słowach tych czujemy nie tylko ból i ideę wielkiego wróża-artysty, ale i własne męczarnie samotności Piłsudskiego. O tej samotności wielkich drogowskazów powiada w mowie swojej, wygłoszonej nad trumną z popiołami Słowackiego, gdy się już znalazły na wzgórzu Wawelskiem:

„Wszędzie, gdzie gościńce mają skrety, gdzie załomy drogi, gdzie ludzi wahania i gdzie ludzi małych trwoga, stoją na załomach jak drogowskazy olbrzymie głazy, świadczące o wielkiej prawdzie bytowania. Stoją olbrzymie głazy samotne lecz z nazwiskami, gdy ludzie giną bezimennie”.

Czyż to nie zbiega się z dalszym ciągiem tejże samej oktawy Wyspiańskiego o wielkości?

*i duszą trwa, wielekroć powołaną,
świecącą w długie narodowe noce.*

A widzieliśmy już wcześniej, co i jak mówił Piłsudski o tej potędze ducha Słowackiego, który tą potęgą chciał zastąpić siłę miecza.

I czytamy jeszcze niby charakterystykę duszy innej, niby bolesne wyznanie duszy własnej:

„Gdy przed Słowackim, jedną z harf szczerozłotych, stoję, gdy warstwy mąk jego i pracy jego przeliczę, znajdę w tej harfie jedną strunę co zawsze brzęczała, znajdę prawa dumy i prawa rozkoszy cierpienia dla dumy, dla godności ludzkiej. Szarpany niemocą ciała, szarpany niemocą prawd, które wyznawać rozum mu kazał, szukał w rozpacz dumy siły, targającej wnętrzości swoje i Ojczyzny swojej. Znajdziecie brzęczące struny dumy i struny godności ludzkiej na każdym kroku. Szedł pracując, szedł myśląc, że дума stargana, i sponiewierana wyda nie jęk rozpacz lecz siłę olbrzyma. Pracował jak inni; myślał o możliwości, aby duch ludzki mógł zastąpić siłę ciała, i nieraz potwornie się męczył, wątpił jak i inni. „Godności nie mam, od męki uciekłem“. Tak mówi o sobie, męcząc się potwornie. I nie mógł wydobyć siły skończenia męczarni śmiercią. Stargana дума i sponiewierana, w błoto człowiek wdeptany, harde prawa godności człowieka, dumę nie w siłę miecza lecz w siłę ducha przerabiał. On z kraju był nie dumnych Helotów i dumy nie pragnął by była siłą, by siłą dała, by wartość mocy potęgą Polski mieć mogła“.

Jednakże ze wszystkich tych smutnych na cześć Słowackiego dytyrambów, w których jest raczej nieopanova improwizacja mówcy, przejętego nawskroś duchem Słowackiego, najpiękniejsze są te słowa proste i wielkie, z którymi w końcu swojego pożegnania zwrócił się do starszyzny oficerskiej:

„Panowie, w imieniu Rządu Rzeczypospolitej polecam wam odnieść trumnę do krypty królewskiej. by królom był równy“.

Słowa te zabrzmiały jak wielki dzwon, którego echo spiżowe odezwało się aż w Paryżu. Podchwycił je wielki czciciel Szopena i dla jego kultu zasłużony uczonec, pan Ganche. Czarem i siłą tych słów podniecony, zwrócił się z gromkim apelem do opinii polskiej (w czasopiśmie „La Pologne“), ażeby i Szopena popioły zwrócono Ojczyźnie i pochowano w krypcie królewskiej na Wawelu.

Piłsudski odczuł jak nikt inny, że ta wielka chwila nie jest bynajmniej zakończeniem, lecz przedłużeniem żywota poety, i w ten sposób to jego odejście wyraża:

„Idzie między Władysławy i Zygmunty, idzie między Jany i Bolesławy. Idzie nie z imieniem, lecz z nazwiskiem, świadcząc także o wielkości pracy i wielkości ducha Polski. Idzie by przedłużyć swe życie, by być nie tylko z naszym pokoleniem, lecz i z tymi, którzy nadejdą. Idzie jako Król-Duch“.

I oto znowu mamy podobieństwo do Wyspiańskiego obrazu Wielkości:

*więc choć jej świeży grób oplakivano,
przemoże śmierć i trumien gład zdruzgoce;
porwanie z martwych na narodu czele
w nieśmiertelności królować kościele.*

A oto jeszcze jedno echo, już nie słów Piłsudskiego, lecz łopotu wielkich chorągwi jego pracy.

Były minister francuski, p. Anatol de Monzie, wybitny pisarz i znawca sztuki, poświęca w swej książce „Destins hors série“ studjum, pełne niepowszedniej przenikliwości i daru charakterystyki, Józefowi Piłsudskiemu. Jest to rozdział bodaj najgorętszy z pośród innych, w których mówi się o niezwykłych losach i karierach kilku bohaterów ostatniej doby dziejowej, jak Primo de Rivera, Aleksander Stambuliński i inni. Rola dziejowa Marszałka w ten sposób uczczona została przez p. de Monzie: Wie on z książki swego krewniaka, p. Henryka Lasserna, który był w Polsce sekretarzem jednego z książąt Czartoryskich i patrzył zbliska na powstanie 1863 roku (książka pod tytułem „La Résurrection de la Pologne“, wydana w r. 1915), że Polska jest pełną sił, tylko że te siły, zwalczając się wzajem gubią się lub nicestwią. Naród ten gdyby posiadał więcej zdyscyplinowania, byłby potężniejszy od każdego z otaczających go. Rasa to wyższa od ludów sąsiadujących; przewyższa je męstwem, inteligencją, prawością i wzniosłością charakteru. Jeśli jest od nich niższą, to że nie posiada takich urządzeń i cierpi na pewien brak subordynacji, lecz i to leży raczej w jej zwyczajach, niż w naturze umysłu. Otóż cała taktyka i polityka Piłsudskiego nie jest dla

p. de Monzie niczem innym, jak tylko dążeniem do skierowania Polski na drogę rygoru demokratycznego. I dlatego w oczach p. de Monzie Piłsudski jest syntezą Polski, jak go zawczasu zapowiada w tytule: *Pilsudski ou la synthèse polonaise*.

Popis walk, zmagañ się, przeżyć i czynów Piłsudskiego, które pisarzowi francuskiemu odsłaniają wprost swoje oblicze nieprawdopodobnie bohaterskie — opis i znaczenie ich dla Polski i dla Europy, uczynione z całą impulsywnością człowieka, naprawdę zdziwionego, kończy uwagą: „W starożytności znacznie mniejszego nakładu czynów starczyłoby, żeby wypełnić żywot Tytana”: *L'antiquité remplissait, à moindres frais d'évènements, un destin de Titan*.

POSŁOWIE.

Każdy pisarz musi być przedewszystkiem w zgodzie z sobą. Musi być nim przeto i autor niniejszego studjum, zwłaszcza wobec problemu tak zawilego, jak problem: „Józef Piłsudski jako pisarz i mówca“.

Zgodę ze sobą samym pojmuję w tym wypadku w następujący sposób: jest to zgoda z drogą dotychczas przebieżoną.

W powieści mojej p. t. „Jasny Hubert“ krytyka dopatrywała się między innemi tezy, że Polska stanowi punkt środkowy elementu patetycznego świata.

Jeżeli w istocie taka była moja intencja, to nie wypłynęła ona z takiej egzaltacji patryjotyzmu, która się wyraża w romantyczny szowinizm i która rozszerza pojęcie Polski do rozmiarów, przesłaniających cały świat. Takiej śmieszności nie popełniłbym, choćbym się nawet wywoździł w prostej linii od Lecha. Za centrum patosowe uważam naród polski z powodu najwyższego napięcia jego walki z innemi narodami i tragicznej przez półtora wieku historii. Centralność w pewnym sensie stała się prerogatywą Polski, dzięki jej psychicznemu odosobnieniu i wyjątkowemu poczuciu ideowości.

Otóż czem jest Polska wobec świata, tem Józef Piłsudski wobec Polski dzisiejszej. Jego patos i jego tragedia to odosobnienie i wybujały dogmat wolności i potęgi.

Podobnie, jak tamten stosunek narodu polskiego do ogółu ludów Polska dzisiejsza, niepodległa i odrodzona, usiłuje czasami zniżyć, spopolitować przez rosnący z dniem każdym prowincjonalizm ducha i przez parafianstwo instynktów — tak samo stosunek Piłsudskiego do Polski starają się zanieczyścić i w obliczu historii, a co gorsza, w obliczu ludzkości, zdrobnić i wykoszlawić.

Oto tragedia, która mnie pociągnęła, tak samo, jak mnie pociągnęła ongi tragedia Słowackiego, Nietzschego,

Dantego, Norwida, lub wspaniała Odyseja twórczości Byrona lub Shelleya...

Moje zajęcie się Piłsudskim jako pisarzem jest prostym dalszym ciągiem tamtych zainteresowań, ta zaś okoliczność, że nie jest to genialny poeta, lecz człowiek czynu historycznego, który zaważył na losach Polski i na układzie stosunków całego świata, dodaje tylko niezwyklej osobliwości tematowi. Jeżeli siłą i czarem jest twórczość samoistna, to źródłem nauki, mądrości i zaciekawienia jest literatura, służąca owemu wiekopomnemu dziełu życia, owemu historycznemu czynowi za uzupełnienie, wyraz i komentarz. Posiada ona w sobie nie mniej wielkich tajemnic. Może nawet więcej.

Starałem się rozjaśnić te tajemnice i uszeregować je w taki sam mniej więcej sposób, jak to czyniłem z wielkimi poetami i myślicielami, gdym z pism ich rekonstruował ich duszę.

Zadanie moje nie jest łatwe, gdyż ja pierwszy podjąłem je w zakresie rozleglejszym. A uczyniłem to w chwili, kiedy pisarskich występów Piłsudskiego, drukowanych czy ustnych zebrало się tak wiele, że temat sam cisnął się pod pióro. Temu pewnie przypisać muszę, że gdy w prasie z czasów wiosny roku zeszłego, 1928, ukazała się wiadomość, iż najbliższym odczytem moim dla Zachodu będzie „Józef Piłsudski jako pisarz i mówca“, w kilku czasopiśmiech o barwie żywszej i charakterze szlachetniejszym zjawily się drobne natrącenia a niekiedy i bardzo trafne myśli z tego właśnie zakresu. Wspomnę tu, między innymi, o artykule p. Pawła Hulki-Laskowskiego p. t. „Piłsudski jako pisarz“, zamieszczonym w numerze 30 (22 lipca) 1928 r. „Wiadomości literackich“. W tej krótkiej ale wymownej kondensacji paru myśli Piłsudskiego doskonale nacisk został położony na to, z czym Piłsudski walczył, to jest na słabość, brak wiary, ugodowość, trójlojalizm, polityczną bezmyślność i t. d.

Znaczne też zalety zapału i wnikliwości zawiera artykuł p. Stanisława Kanclerza, zamieszczony w numerze 3 (1 — 15 lutego) r. 1928 „Głosu literackiego“. Powodem

napisania tego artykułu p. t. „Wódz mówi o bitwie“ było wyjście „R. 1920“.

Wzruszające cechy entuzjazmu kobiecego posiada artykuł p. Orężyny, zamieszczony w dodatku literackim do „Głosu prawdy“ o mowach Piłsudskiego na zjazdach legionowych.

Dość szeroko uwzględnił prace literackie Marszałka p. Jerzy Jodłowski w artykule p. t. „Józef Piłsudski jako pisarz“, ogłoszonym w numerze 6 (15 — 31 marca) 1928 wspomnianego „Głosu Literackiego“. Zaletą tego zwięzłego ujęcia jest należyte zrozumienie psychologiczności stosunku Piłsudskiego do omawianych przezeń rzeczy i wypadków.

Niewątpliwie musiały się zdarzać i inne szkicowe próby oddania sprawiedliwości niezwykłym czynnikom składowym pism Piłsudskiego a zwłaszcza jego ideologii.

I może bodźcem dla nich były odczyty, które z inicjatywy Towarzystwa Wiedzy Wojskowej wygłosiłem we wszystkich większych miastach garnizonowych Polski, a o których dość głośno było w prasie.

Ponieważ w essay niniejszem starałem się dotrzeć do samego źródła umysłowości, przeto nie rywalizuję z wizjerunkami ogólnymi, jakie wyszły z pod poważnych piór Wacława Sieroszewskiego, Juliusza Kadena Bandrowskiego i Wincentego Rzymowskiego. Zaczynają się pojawiać charakterystyki Marszałka i w obcych językach. Tem więcej przeto usprawiedliwioną jest moja praca, nie polityczna, o ile tylko taką pozostać mogła. Zapewne, nie jest ona i być nie może ostatnim wyrazem dokładności i syntezy. Prawdopodobnie niejeden rys i niejedna cząstka myślowego całokształtu mojego bohatera będzie mogła być sprawdzona lub sprostowana wtedy, gdy więcej przemówień jego i odezów lub artykułów z dawnych czasów ręka umiejętna zgromadzi, jak już to czyni główny w tej mierze historyk gen. Julian Stachiewicz, któremu jako kierownikowi Wojskowego Biura Historycznego, zawdzięczam niejedno cenne uzupełnienie materiału dla niniejszego szkicu. Moja wszakże inicjatywa może mieć tę wartość, że posłuży za podnietę innym. A przytem bohater mojego studjum żyje,

a jak intensywnie żyje i działa, to widać z bezustannego wzrastania znaczenia Rzeczypospolitej, jako jednej z najważniejszych baz politycznej struktury europejskiej i ładu międzynarodowego. Jego więc stan posiadania, jako autora, będzie się powiększał.

I to też zaznaczyć muszę, że najbliższe były mojej uwadze lata ostatnie działalności piśmienniczej Marszałka. W nich bowiem teoria jego i poglądy wzięły lot najgórnieszy a zarazem wypełniły się najsilniejszą namiętnością w ogniu wojny, która przyszła po wojnie t. j. w tej wojnie, w której zwalczać trzeba było i trzeba jeszcze teraz najniebezpieczniejszego wroga — rodzimy nierząd. Określił to pięknie lubelski publicysta, p. Zenon Wyrzykowski, słowami:

„Tak walczy o nasze sumienie, aby nie zabił się błoną podłości, a historia nie rzuciła znów strasznego oskarżenia: *leniwe warchoły*“.

Za zbyteczne uważam podawanie osobnego spisu druków i prac, z których korzystałem. Spis taki o niczem by nie pouczał, osłabiałby zaś tylko znaczenie tego głębszego zespolenia z pracami Piłsudskiego, o które mi chodziło przy powyższej rekonstrukcji jego pisarskiej fizjonomji. Myślę, że takie gruntowne zaznajomienie się z emanacjami umysłu, w których z całym impetem i szczerością on się wypowiedział, czyni całkiem zbytecznymi oddzielne, akademickie wykazy tytułów. Było ich w toku pracy niniejszej — jeśli chodzi o legitymację sumienności — pod dostatkiem.

Pisałem w Warszawie, skończyłem w lipcu 1929 roku.



SPIS ROZDZIAŁÓW:

	Str.
I. PIĘKNO LIRYCZNE I POETYCKIE	5
II. MIECZ SŁOWA	18
III. GORSZYCIEL CYWILÓW	25
IV. ANIMISTA I PSYCHOLOG	34
V. IDEOLOGJA	43
VI. SWOISTE NASWIETLANIE HISTORJI	58
VII. GDZIE TWOJE MIANO, WIELKOŚCI!	74

TEGOŻ AUTORA:

KRYTYKA i ANALIZA:

GALERJA OSTATNICH DNI (Wizerunki, Rozbiory, Pomysły, Monachjum, Szkice o malarstwie, H. H. Taine, Jan Matejko, Intensywizm i in.).

WSZECHPOEMAT i NAJNOWSZE JEGO DZIEJE, Prometeiści. (Byron, Shelley, Ludwika Ackerman, Leopardi, Faust i Manfred), Kraków.

JULJUSZ SŁOWACKI DZISIAJ. Kraków.

DRUID JULJUSZ SŁOWACKI. Lwów — Brody.

CYPRJAN NORWID. Zarys syntezy, Stanisławów.

GRAJĄCY SZCZYT. STUDJA I SZKICE (Koncepcje Polski, Tok energii w poezji polskiej, Dzwony Szopena, Jacek Malczewski, Dwie epopee kupieckie, Ksawery Dunikowski i inne).

JULJUSZA SŁOWACKIEGO „SAMUEL ZBOROWSKI“ transkrypcja sceniczna i rekonstrukcja, Warszawa.

DANTE. Wydanie nowe, Warszawa.

FILOZOFIA:

STUDJA i SZKICE FILOZOFICZNE. Warszawa.

DRAMATY I POEZJE:

NURTY. Sceny dramatyczne, Kraków.

ORFAN. Poezje i część II Nurtów, Kraków.

KRASWA. Z cyklu „Mity“. Dramat fantastyczny. Kraków.

MEDUZA. Dramat. Kraków.

BALETNIK. Sztuka z tańcem wczorajszym. Warszawa.

POWIEŚCI:

W PRZESILENIU. Nowele, Warszawa.

LINE HOFERA. Powieść, Lwów.

WIELKI ZMIERZCH. Pamiętnik - powieść, Warszawa

CYKL KRWAWE LILJE

JASNY HUBERT, Warszawa.

RYCERZE LILJI, Warszawa.

KSIĄŻĘ O TURKUSOWYCH OCZACH. Warszawa 1929.

W PRZYGOTOWANIU:

MUZYKA WIESZCZÓW POLSKICH.

NEOPROMETEIŚCI.

ERNEST TEODOR AMADEUSZ HOFFMANN.



CBW	
Wplyw	or 32e rok 46.
Wzrost	775

3317

CBW

dubl. do sygn.

116887

166222

117091

AD-34198

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-34198



001-0040910-00